Świat Kobiecy

ROK X 15 CZERWCA 1930 R. N-R 12



ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA — N-R 12 — ROK X — WARSZAWA — LWÓW — 15 CZERWCA 1930 ROKU

GĘŚ

Anser vulgaris

STWORZENIE dziwnego nabożeństwa.

Jest to ptak zupełnie swojskiego chowu, inna rzecz, czy zupełnie udanego. Upierzenie ma — takie, jakie noszą. Obyczaje składane, ale oczywiście wyłącznie tylko „przyjęte".

Gęś — mimo że wygląd jej nie dopuszcza właściwie żadnych wątpliwości — miewa czasem zdala łudzące podobieństwo do pawia, papugi, niekiedy nawet do — świnki. Ale przy baczniejszem przyjrzeniu się widać zaraz, że to przecież tylko gęś.

Dęś — jak mówiło pewne dziecko, określając tym warjantem bardzo szczęśliwie d ę t o ś ć tej istoty.

Gęś (mowa tu oczywiście o domowej, nie o dzikiej, źle wychowanej) kroczy zawsze udeptaną drogą, czując nieomylnym instynktem, że tak jest najbezpieczniej, najwygodniej i że tak „wypada".

Przeto gęś wpycha się do kurnika największego, najlepiej zamieszkanego, najbardziej oficjalnego, a czyni to z miną tak mądrą, że najtwardszych sceptyków musi przekonać.

Bywa, że gęś dużo jeździ i z podróży przywozi sakwojaż wypchany dziwnemi, zdawałoby się, niepotrzebnemi głupstewkami. Chadza na wystawy obrazów i później malowane pejzaże służą jej za wzór i pomoc przy rozpoznawaniu żywych, które przedstawiają się jej à la Stanisławski, Fałat i t. p. Świadczy to o znakomitem odczuwaniu przyrody.

Gęś ma olbrzymie zamiłowanie do muzyki, gra i śpiewa — *cantat* — bardzo efektownie, ku najgłębszej (przeważnie własnej) satysfakcji.

Ma też aspiracje w innych dziedzinach sztuki: maluje na czem się da, pisze — przeważnie poezje i nowelki, który to rodzaj jest ogromnie łatwy i wdzięczny — przedewszystkiem zaś „uczęszcza" do szkoły dramatycznej, a zwłaszcza filmowej.

Ponadto gęś — *risum teneatis!* — ma jeszcze przekonania i zasady. A jakże. W tych przekonaniach gęś jest bardzo stała, a zasady jej świecą jak wyczyszczony „sidolem" samowar.

Nie do uwierzenia, jak twarda może być gęś. Wątpiących odsyłam do Heinego („Deutschland — ein Wintermärchen").

Bywa też, iż gęś para się okultyzmem i mistyką, ale wówczas chowa to do osobnej szuflady, żeby jej nie przeszkadzało w życiu podręcznem. Tak, że na pierwszy (płytki) rzut oka możnaby się dziwić, iż ta właśnie gęś jest mistyczką (jak ów baran z mistycznego widzenia Sancho-Pansy).

Gęś może być także dowcipna i złośliwa i to mianowicie w takim stylu, że interlokutora, gdy ma odpowiedzieć, ogarnia dziwne lenistwo. To właśnie lenistwo przeszkadza mu w należytej, sprawiedliwej ocenie bystrości i sprytu, z jakim gęś eksploatuje biografję bliźniego na użytek swych dowcipnych alokucyj.

Gęsia złośliwość istnieje tak niewątpliwie jak pasztety z gęsich wątróbek.

(Nie wiem tylko, jaka jest geneza powszechnie używanego życzenia: „Niech cię gęś kopnie!")

W czasach klasycznych, gęś rezydowała na Kapitolu i tam gęgała, niekiedy z wielkim pożytkiem dla dziejów. (Niedawno wspominał o tem sam Mussolini.) Gdy zaś skończyły się czasy klasyczne, klasyczność gęsi pozostała nadal, chociaż rozumie się, że nie każda gęś klasyczna jest *ipso facto* gęsią kapitolińską, jakkolwiek zawsze może być kapitalną.

Ale tej klasycznej poświęcił swoją komedję Bałucki, a i inni pisarze przydawali listki lauru do jej chwały.

Sceptycy utrzymują, iż gęś ma fenomenalnie mały móżdżek i mikroskopijne serce i że wskutek tego nie może mieć wdzięku — ale to jest chyba oszczerstwo.

Tak się już utarło, że gęś jest zazwyczaj rodzaju żeńskiego — i tak już weszło w używanie dla wygody językowej.

Ale zdarza się przecież takie cudo natury, że urodzi się gęś rodzaju męskiego.

Co zrobić wtedy?

Czy nazwać ją gęsiorem?

Czy to wolno? Czy to się godzi?

LYNX

PANAÏT ISTRATI

KOBIETY I DZIECI W ROSJI SOWIECKIEJ

Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego we Lwowie ukaże się wkrótce książka o Rosji sowieckiej, którą napisał słynny pisarz rumuńsko-francuski Panaït Istrati. Z książki tej drukujemy poniżej rozdział o położeniu pracujących kobiet i dzieci rosyjskich.

DRUGĄ grupę wydziedziczonych przez los i krzywdzonych przez rząd stanowią kobiety i dzieci. Klasyczny postulat socjalistów i komunistów całego świata: *Przy równej pracy — równa płaca* w Rosji sowieckiej nie ma wartości. W roku 1927 Trocki, opierając się na datach statystycznych z poprzedniego roku, pisał: „W licznych gałęziach przemysłu płace robotnic w marcu 1926 wynosiły 51, 61, 83% płacy robotnika. Nie przedsięwzięto żadnych środków, koniecznych dla ochrony pracy kobiecej, w takich gałęziach przemysłu, jak eksploatacja torfu, ładowanie i wyładowywanie materjałów i t. p. Robotnicy młodociani, w porównaniu z dorosłymi, otrzymują płace coraz niższe: w roku 1923 płace te przedstawiały 47%, w r. 1924 — 45%, w r. 1925 — 43%, w r. 1926 — 40% płacy robotnika dorosłego *(Przegląd sytuacji ekonomicznej młodzieży)*. W marcu 1926 49% młodocianych robotników zarabiało miesięcznie mniej niż po 20 rubli *(Centralne Biuro Statystyczne)*. Po tem, co powiedziano wyżej o zarobkach robotników, zbytecznem jest rozwodzić się obszerniej nad losem tych kobiet i dzieci, o których Trocki wyrażał się w ten sposób w dziesięciolecie rewolucji. W prasie sowieckiej nie brak korespondencji, opisów i sprawozdań ilustrujących tragiczne warunki bytu robotnic i dzieci proletarjatu. Zacytujemy z nich kilka:

Prawda z 20 marca 1925 opisuje położenie robotników w Tule: „Dochodzenia odsłoniły ponury obraz. Niski poziom wykształcenia, kompletna ignorancja, brak kwalifikacji do pracy, a co za tem idzie, i niska płaca, ciężary utrzymania rodziny, — wszystko to, niby ciężkie brzemię hamuje rozwój kulturalny i socjalny robotników..." Każdy z nich niemal ma 3—4, niektórzy 5—6 osób do wyżywienia, a pobiera płacę wedle trzeciej kategorji (w owym czasie jakieś 10 rubli miesięcznie!); robotnica idąc do pracy zostawia nieraz trzyletnie dziecko pod opieką drugiego, niewiele starszego; „warunki mieszkaniowe wręcz nie do zniesienia"; na 42 robotnice, z któremi przeprowadzono ankietę, pięć nie mogło posyłać dzieci do szkoły dla braku środków, jedenaście nie miało bucików i ubrania ani dla siebie ani dla dzieci, czternaście nie mogą sobie pozwolić nawet raz dziennie na przyrządzenie gorącej strawy, dwanaście nie umie czytać ani pisać. W Astrachaniu kobiety pracujące w suszarni ryb oddawna już były traktowane jako materjał do łóżka, i to naturalnie, bezpłatny. Gnębione niedostatkiem, nie śmiały sprzeciwiać się swym majstrom; która zdobyła się na więcej odwagi, traciła robotę. Rewolucja nic prawie nie zmieniła w tych praktykach. Jak poprzednio tak i teraz kierownicy przedsiębiorstwa polują na robotnice po tratwach i sitowiach, — a za ich przykładem idą i urzędnicy, aż do najniższych. Korespondenci wyliczają nieustannie podobne wypadki, — syndykaty wykluczają jednego, drugiego, który dał się złapać na gorącym uczynku... „ale wszystko to nie wystarcza... a ofiary nie mają odwagi mówić"... *(Prawda*, 10 maj 1925). Na Krymie — pisze Serafimowicz — młode dziewczęta pracujące na plantacjach tytoniu czy w winnicach zmuszone są oddawać się swym przełożonym; w wyniku masowe poronienia, różnorodne choroby. Jedzenie złe, mieszkania ohydne, traktuje się je jak bydło „gorzej niż w katordze" *(Krasnaja Gazeta*, 21 marzec 1926). Bezrobocie i kryzys mieszkaniowy sprzyja rozwojowi prostytucji, zwłaszcza wśród nieletnich; coraz więcej jest prostytutek 14-letnich *(Komunista*, Charków, 15 kwiecień 1926). Jednem słowem wszędzie: w pracowniach, w biurach, w magazynach, na uniwersytetach, kobiety nie mogą dostać pracy ani utrzymać się przy niej, o ile nie zdecydują się opłacać haracz w naturze, wstrętny, ohydny haracz cielesny, ludziom od których decyzji los ich zależy. W żadnym innym kraju na świecie nie sroży się podobne okrutne tyraństwo, pod jarzmem którego jęczy większość kobiet w Rosji. To co się tam dzieje, okrywa niezmazaną hańbą partję będącą dziś przy wła-

WACŁAW GRUBIŃSKI

INNA STOPA

GABINET restauracyjny jest w codziennem naszem życiu miejscem eksterytorjalnem. Do gabinetu wyjeżdżamy, niby na krótki urlop jakby za granicę, daleko od spraw powszednich. Tutaj nas nic nie obchodzi. Na progu gabinetowym składamy pamięć o naszych kłopotach, o naszych uciążliwych obowiązkach, spuszczamy niewidzialną żelazną kurtynę bezpieczeństwa, oddzielając się w jednej chwili od świata ciężkiej pracy i trosk i zafrasowań.

Taką wycieczkę precz z codzienności robimy w kilka osób, jednakowo źle usposobionych dla powszedniej orki, wesoło postanawiających się naraz wystrzelić na inną gwiazdę zamknięci w tym świetnie zbudowanym pocisku, o wiele praktyczniejszym i celowszym, niż konstrukcje Verne'a, i wciąż jeszcze niegotowe wynalazki amerykańskich amatorów podróży międzyplanetarnych. Kilka butelek niezbyt kosztownego gazu i pocisk lekko rusza w górę. Ani spostrzegamy, kiedyśmy minęli konstelację Wierzycieli, grupę Poborców Podatkowych, Wielki Wóz z Teściową, i, mile rozkołysani, wysiadamy na komecie, zwanej od wieków Cyterą, gdzie nas odrazu opuszcza artretyzm, newralgja i „niedyspozycje", gdzie ciśnienie atmosfery jest pieszczotą a oddech rozkoszą, gdzie niema nic oprócz teraźniejszości, gdzie wszystko jest dla nas, i gdzie my jesteśmy wszystkiem.

Ale jeżeli się ma pecha, to i w gabinecie będzie zamącona podróż w bezkłopotliwość. Właśnie przed dwoma dniami taki wspaniały pocisk psychologicznej eksterytorjalności, wyrzucony w śródgwiezdne obszary przy pomocy bardzo skomplikowanej esencji pochodzenia głównie burgundzkiego, lecz potrosze też i węgierskiego, otarł się o inny pocisk gabinetowy, z większym lecący hałasem. Mówiąc zwykłą prozą sprawozdawczą, ściany gabinetu były o jedną przynajmniej cegłę za cienkie i sąsiedni goście gabinetowi rozprawiali za głośno.

Prosimy o więcej wina i nie słuchamy, co tamci gadają. Ba! kiedy nie słuchać nie można. Głosy podniesione, dykcja Frenklowska... Bardzo nieprzyjemnie. Dajemy więcej esencji, pędzimy z większą ilością humoru w pozadziejowość drożyzny, polityki, niewykupionych weksli, gdy w gabinecie sąsiednim pada nazwisko znajome.

I oto mimowoli zasłyszeliśmy następujący dialog:

— Widziałem się z Piotrem, który wczoraj wrócił z zagranicy. Opalony, jak złota reneta, ubranie na nim wisi, do tego stopnia odzyskał linję; w humorze świetnym.

— Dlaczegoś go nie namówił, żeby spędził dzisiejszy wieczór z nami?

— Namawiałem go, ale on teraz wcześnie chodzi spać.

— Jak to człowieka wykoleja urlop!

— I przestał palić papierosy, a w gabinecie zawsze się nadymi.

— Można przecież przez naciśnięcie guziczka puścić

dzy, której członkowie zresztą sami przedewszystkiem wykorzystują ten stan rzeczy. Niejedna kobieta popełniła już z tego powodu samobójstwo. Przykładów w bród!

Z okazji jednego takiego samobójstwa pisała *Prawda*: „Ludzie w guście tego K. zbyt lekko i bezkarnie depcą młode życia. Nie zawsze dochodzi do ostateczności: do morderstwa lub samobójstwa. Ale ileż było takich morderstw moralnych? Czyż nie jest moralnem zabójstwem fakt, że studentka chcąc otrzymać czy to świadectwo, czy zasiłek, czy bilet kolejowy, musi przejść przez sypialnię takiego indywiduum jak ów K.? A niestety, tego rodzaju wypadki nie należą wcale do wyjątków. I co najgorsze, robi się to zupełnie jawnie i otwarcie." *(Prawda*, 5 czerwiec 1926). Faktycznie stwierdzić trzeba, że są to w Rosji rzeczy codzienne, którym nikt się już nie dziwi. Oburzać się na to? po tem, co widziano w ciągu tych dziesięciu lat i oburzenie już niestety wygasło. „Trzeba nam powiedzieć całą prawdę: od czasu rewolucji położenie kobiet w licznych zawodach zupełnie się nie poprawiło. Młoda artystka może się dostać na scenę tylko — przez sypialnię reżysera. Młode dziewczę ma nieraz tylko te dwie alternatywy: ulica, lub ten rodzaj pracy..." *(Krasnaja Gazeta Wieczorna*, 1 październik 1926).

W ciągu lat następnych nic się na lepsze nie zmieniło. Zacytujemy tylko najświeższe: *Izwiestia* z 6 lipca 1929 podaje cały szereg wypadków, gdzie pielęgniarki, nauczycielki, urzędniczki muszą folgować różnym zachciankom seksualnym swych „przełożonych". Z reguły kobiety takie, prostytuujące się wbrew własnej woli, czują się upokorzone, bezbronne, nie mają odwagi poskarżyć się, poczęści ze wstydu, poczęści ze strachu, by nie stracić posady. Czasem tylko wyjdzie coś najaw dzięki listom anonimowym. W długiej serji brzydkich afer i skandali w ciągu ostatnich 3—4 lat, jakie wybuchały zarówno w centrach jak i zapadłych kątach Rosji sowieckiej, — gwałty na tle seksualnem zajmują wcale nieposlednie miejsce. Bohaterami są komuniści zarówno na kierujących stanowiskach jak i podwładni, — ofiarami bezbronne kobiety pracujące.

O ile znów idzie o ochronę macierzyństwa i dziecka, to — jak wiele innych rzeczy w Rosji sowieckiej — istnieje ona tylko... na papierze. Z odnośnych urządzeń korzysta tak znikomy odsetek kobiet, że nawet dzienniki sowieckie wolą tem się nie chwalić. Jak stwierdziły oficjalne ankiety, pomoc dla położnic właściwie prawie nie istnieje, żłóbki dziecięce (których jest śmiesznie mało) są stale przepełnione, materjały i bielizna pozostawia dużo do życzenia. Zapewne, — znajdziesz i żłóbki wzorowo urządzone, pokazywane zawsze turystom, przygodnym gościom i „przyjaciołom Z. S. S. R."..., ale czyż można je brać na serjo w rachubę? W krajach kapitalistycznych na pewno więcej się znajdzie takich wzorowych żłóbków, lepiej nawet urządzonych niż w Rosji, tej „szóstej części świata", — więc nie można się łudzić na tym punkcie. Dużo jeszcze wody upłynie, nim wspaniałe zasady sformułowane przez Lenina zostaną wprowadzone w życie. Nie chcemy badać przyczyn ani ustalać narazie odpowiedzialności: konstatujemy poprostu fakty.

Istnieją też — na papierze — ustawy i rozporządzenia normujące pracę nieletnich. Ale jak to wygląda w praktyce? Zajęła się tą sprawą odniedawna *Prawda Młodzieży*, odsłaniając prawdę w całej ohydzie. W gub. Włodzimierskiej dzieci dziewięcio- i dziesięcioletnie muszą już pracować na roli po 15—16 godzin dziennie, bite niemiłosiernie przez rodziców, kiedy próbują wyrwać się z tego piekła; pastuszki 10—13-letnie, okryte łachmanami, trzęsą się z zimna w czasie mrozów; małe dziewczyny sypiają w stajniach razem z krowami, pracują od świtu do zmroku, bite i poniewierane; w Karelji rodzice oddają dzieci swoje na służbę przez całe lato za beczkę suszonej ryby i 5 rubli; *połowa młodocianych robotników rolnych nie korzysta zupełnie z niedzielnego wypoczynku;* 130 tysięcy dziewcząt pracuje po 10—18 godzin dziennie *(Prawda Młodzieży*, 19 czerwiec 1929). Na 5 miljonów 400 tysięcy robotników rolnych jest dwa miljony młodocianych, w czem 1,300.000 poniżej lat 18, zaś 638.000 w wieku od 11—14 lat, jakkolwiek ustawa zabrania pracować dzieciom poniżej lat 14. Dorastający zarabiają przeciętnie 13 rubli (chłopcy) lub 11 rubli (dziewczęta). Dorośli 21 rubli miesięcznie. Olbrzymia większość młodzieży pracuje 10, 12 a na-

---

w ruch wentylator; wszystko wyciągnie w trzy i pół minuty.

— Tylko że o wentylatorze się zapomina, a potem trzebaby go puszczać w ruch co kwadrans.

— Może się stale kręcić!

— Warczy. Utrudnia rozmowę.

— Wszystko ci przeszkadza. Naucz się brać z każdej rzeczy tylko jej dobrą stronę; raduj się, że dym nie warczy i wentylator nie dymi. I powiedz, co ci mówił Piotr.

— *A propos* dymu mówił, że w *Folies Bergères* w Paryżu Anglicy i Amerykanie palą podczas przedstawienia nietylko papierosy ale i fajki, co fatalnie psuje atmosferę. Siedzi się, jak w wędzarni. Zapłacił siedemdziesiąt pięć franków za krzesło na galerji drugiego piętra i wynudził się za wszystkie czasy. Bo Francuzi dbają tylko o klientelę anglosaską. Te rewje paryskie są komponowane wyłącznie pod kątem widzenia Anglika i Amerykanina. Ani śladu dowcipu! Bogata wystawa, kilkaset absolutnych nagości płci słabej, orkiestra silnie gra, ktoś na scenie skrzeczy, lub podryguje, Anglicy na swoich drogich miejscach ziewają i puszczają kłęby dymu, Piotr z rozrzewnieniem wspominał koncerty naszych warszawskich nadscenek.

— Siedemdziesiąt pięć franków krzesło na drugiej galerji?! Więc nasze teatry nie są tak bardzo znów drogie. Nawet fotel w pierwszym rzędzie Opery nie kosztuje u nas siedemdziesięciu pięciu franków.

— Piotr mi opowiadał o cenach miejsc w Operze rzymskiej, ponieważ był i w Rzymie. Zgadnijcie, ile tam kosztuje loża. Coprawda z gościnnym występem świetnego śpiewaka. Ni mniej, ni więcej, tylko tysiąc pięćset lirów.

— Do licha! Sześćset złotych!

— I obowiązuje frak. Damy w sukniach balowych. Wogóle skala życia jest tam zupełnie inna, niż nasza. Niema ludzi źle ubranych. Co za automobile! Jak tam wygląda ulica! Piotr stanął przed wystawą jubilerską i zsumował ceny brylantów. Pominął perły, szmaragdy, rubiny, szafiry; nie widział ani jednego opala. Samych brylantów na wystawie było za piętnaście miljonów lirów! Na jednej wystawie za jedną witryną!

— Nie mogę pojąć, co komu po tych świecidełkach!

— Boś nędzarz!

— Rozumiem ubranie, ale nie rozumiem kółka w nosie.

— To posłuchaj o ubraniu. W Paryżu powstało mnóstwo wspaniałych sklepów z konfekcją męską. Mężczyźni zaczęli się ubierać z takiem zamiłowaniem, jak doniedawna kobiety.

— No, i u nas... Przypomnij sobie konfekcyjne wyróżnienie któregoś z naszych młodych poetów lirycznych na którymś z naszych balów. Dostał nagrodę czy list pochwalny, za dobrze uszyty frak. Widziałem portret tego fraka na poecie w piśmie ilustrowanem.

— Piotr mi mówił, że krawaty paryskie dochodzą do ośmiuset franków za sztukę i są czarujące. Widział wystawiony za szybą lustrzaną ponętny komplet, złożony ze sztuczki materjału na kostjum marynarkowy,

wet i więcej godzin dziennie; 34% dziewcząt pracuje ponad 12 godzin dziennie. *(Prawda Młodzieży*, 26 czerwiec 1929). Nikt nie ujmie się za temi dziećmi, okrutnie wyzyskiwanemi. Na IV konferencji młodzieży komunistycznej jeden z delegatów mówił w swem sprawozdaniu: „Bolesne to, ale tem niemniej prawdziwe, że o pracę dzieci nikt się zupełnie nie troszczy. Z listów ich dowiadujemy się o faktach, które w pierwszej chwili wydają się czemś niemożliwem i nie do wiary w Z. S. S. R."

A cóż dopiero mówić o owych ochronkach i przytułkach dla dzieci, o których tak się lubią rozpisywać ci rzekomi „przyjaciele Z. S. S. R."? Że plaga bezdomnych, włóczących się dzieci nie ustępuje, tłumaczono to niejednokrotnie faktem, iż dzieci te mają skłonność do uciekania z domów, w których państwo je utrzymuje, skutkiem czego trzeba je niejednokrotnie sprowadzać tam zpowrotem. Zaraz zobaczymy, jakie są właściwe tego powody.

Przytułki dla dzieci w gubernji tulskiej, wedle sprawozdania miejscowego sowietu, przedstawiają obraz bardzo ponury: ani śladu jakiejkolwiek higjeny, przepełnienie, jedzenie niżej krytyki, nauka prowadzona fatalnie, niemoralność wśród personalu; w licznych takich przytułkach dzieci są bite i teroryzowane; notowano nawet wypadki gwałcenia dziewcząt i zbiorowego buntu. *(Prawda*, 19 maj 1926). W kolonji dziecięcej *Worowskij* stosunki jeszcze gorsze: wstrętny brud, wszy, wszędzie pełno śmieci, zaduch nieznośny, na jednem łóżku śpi po dwoje i troje dzieci; szafliki z ekskrementami stoją po pokojach; niema ani kąpieli, ani ciepłych ubrań, ani bucików na zimę; w ciągu pół roku, na 3520 dzieci notowano 3096 wypadków choroby *(Prawda Młodzieży*, nr. 149, rok 1926).

Obrazek z innego przytułku w pobliżu Moskwy: dzieci zaledwie licho odziane, obsypane ranami i wyrzutami, chore leżą na podłodze; — niema ani apteki, ani lekarza; brak wody, wszędzie pełno brudu i śmieci, dom nieopalany od trzech tygodni (w grudniu!); dzieci głodne, sypiają w ubraniach, personal administracyjny i wychowawczy pije, kradnie i trwoni pieniądze; kierownicy tego domu są komunistami. *(Prawda Młodzieży*, nr. 303, 1926). W następnym roku to samo: *Prawda* z 22 i 24 stycznia 1928 pisze: „Dzieci uciekają z przytułków i z centr rodzinnych... Tam je biją, karzą, wystawiają na wstyd i upokorzenie... Zamiast zaprawiać je do pracy, wszczepia się w nie nienawiść i złośliwość... W roku 1927 w samej Rosji centralnej tylko było 1852 przytułków, w których mieściło się 160.250 dzieci; sytuacja materjalna tych domów jest opłakana, niektóre mają wszystkiego po cztery ruble miesięcznie na dziecko; z zebranych informacyj wynika, że dzieci marzną i są głodne, niczego się nie uczą, a traktowane są aż nazbyt często źle; w okolicy Kazania kolonje dziecięce cierpią na brak bielizny, ubrania, obuwia; w jednej z nich na 120 dzieci jest wszystko około trzydzieści łóżek, nie wszystkie nawet z siennikami, — a nie jest to wcale wypadek wyjątkowy; nauczyciele żyją w nędzy." Dnia 5 stycznia 1928 dzieci z kolonji *Życie pracy* w pobliżu Moskwy zbuntowały się i splądrowały cały dom, dawny pałac jakiegoś hrabiego: dyrekcja otrzymywała po trzy ruble 60 kop. miesięcznie na głowę dziecka. „A podobnych domów jest dużo", dodaje *Prawda.* W instytucie wychowawczym dla opuszczonych dzieci chłopcy i dziewczęta upijają się, idąc za przykładem personalu, który ich maltretuje; jedno dziecko powiesiło się, dwie dziewczynki popełniły zamach samobójczy *(Izwiestia*, 30 czerwiec 1928).

Ponury to, a prawdziwy obraz, — co jednak nie przeszkadza, że i między dziećmi tak samo jak wśród dorosłych są grupy uprzywilejowane. Tak naprzykład istnieje doskonały i wzorowo urządzony przytułek dla dzieci w Małachowce pod Moskwą, są i inne podobne. Ale cóż znaczy drobna garstka uprzywilejowanych wobec prawdziwej martyrologji tych tysięcy nieszczęśliwych? Czyliż rewolucja październikowa miała za cel stworzenie paru zaledwie wzorowych instytucyj, niby wysepek na oceanie niesprawiedliwości i krzywdy? Nie mówiąc nawet o socjalizmie, trzeba będzie długich lat pracy, by złagodzić i wyleczyć wszystko co najjaskrawsze zło, odziedziczone po przeszłości lub świeżo powstałe. A będzie to możliwe tylko pod warunkiem niełudzenia się samemu i spojrzenia śmiało w oczy wszystkim trudnościom, jakie są do przezwyciężenia. A pod tym względem legenda sowiecka żyje iluzjami.

---

z koszuli dziennej, letniej, z pary pończoch, podwiązek, majteczek, trzewików, krawata, chusteczki do nosa i skórkowych rękawiczek — za dwanaście tysięcy franków.

— Za ile?!

— Za dwanaście tysięcy franków.

— Któż to kupuje?

— Skoro jest wystawione, to chyba kupują i z pewnością dość często. Są przecież na świecie szerokim gentlemani, jeżdżący samochodami, za które zapłacili po ćwierć miljona złotych. Dopełnij sobie w tej skali resztującą „stopę" ich prywatnego życia. A zajrzyj do luksusowego hotelu w Biarritz. Znajdziesz tam numery po kilka tysięcy franków za dobę.

— A któż, u licha, staje w tych numerach?!

— Faktem jest, że bywają one za drogie dla niektórych monarchów. Wynajmują je prywatni miljarderzy, niesamowicie bogaci lordowie, bajeczni Kubańczycy, królowie łoju, albo nafty, od czasu do czasu jacyś genjalni oszuści...

— Wiesz, że to aż ślinka idzie zaznać taki nieludzko zdzierczy hotel. Przespać się jedną noc w najkosztowniejszym numerze i nazajutrz, nie zapłaciwszy tych pięciu czy siedmiu tysięcy franków, wyjechać gładko do Hiszpanji.

— Gładkobyś pewnie do Hiszpanji nie wyjechał, a szkody i hotelowi też nie zrobił żadnej, bo twój dobry sen doliczyliby poprostu do tych dni, w których numer był niezajęty. Jednorazowe posłanie łóżka i trochę elektrycznego światła to nie jest wydatek dla wielkiego konsorcjum hotelowego.

— I cóż ci jeszcze Piotr opowiadał?

— Dużo, dużo ciekawego. Że naprzykład we Włoszech ludzie straszliwie pracują. Jeżeli ktoś przejeżdżający robi obstalunek w sobotę, a w poniedziałek rano ma odjechać, to nad wykonaniem obstalunku pracuje się w niedzielę. I firma nie wymaga za to specjalnej dopłaty. A o Paryżu mówił... poczekaj, co on mówił jeszcze...? Aha, już wiem! Paryż jest niesłychanie brudny.

— No, nareszcie! Oddycham. Myślałem, że już nic Piotr nie przywiózł na naszą pociechę. Panowie, trąćmy się kieliszkami. Zdrowie brudnego Paryża! Daję ci słowo honoru, że ten brudny Paryż setnie poprawił mi humor! A już zaczynałem być porządnie smutny.

W sąsiednim gabinecie wzmógł się wesoły gwar, zmieszały się głosy. W naszym gabinecie wesołość się nie wzmogła. Nasz psychologiczny pocisk przestał raptownie lecieć w pozadziejowe przestrzenie beztroski. Więc daliśmy więcej gazu. I to nie pomogło. Zepsuło się coś w motorze. Zaczęliśmy szybko spadać. Oto konstelacja Poborców Podatkowych, oto Mleczna Droga Terminów Wekslowych, oto podwójna gwiazda Trudnego Kredytu, oto złocisty kometa Tchórzliwego Kapitału, oto blada planeta Wierzycieli...

Ktoś z pośród nas żwawo zawołał:

— Mili przyjaciele, nie traćmy fantazji! Trzeba się co rychlej przesiąść. Są jeszcze w Warszawie inne gabinety. Zmiana lokalu, panowie! Rachunek!

ROZMOWA Z HERMINJĄ NAGLEROWĄ O „ZAWALIDRODZE"*

— Ostatnia powieść pani, którą przeczytałam jednym tchem, podejmuje tak bardzo współczesne zagadnienie społeczne, że wzbudzić musi najgłębsze zainteresowanie wszystkich. Wszyscy bowiem byli dziećmi i pamiętają dobrze ten często nieszczery, często zakłamany, a w wielu wypadkach jakże bolesny stosunek do własnych rodziców, nawet tych, którzy żyli z sobą w normalnych warunkach, podczas gdy pani bohater przeszkadza jednej i drugiej stronie, jest rzeczywiście — „zawalidrogą" obojga rozwiedzionych z sobą rodziców...

— Cieszę się, że moja powieść podoba się pani. Oczywiście z tej prawdy życiowej, którą starałam się w niej odtworzyć — wynika zagadnienie. Wynika ono poniekąd także z objektywnego ujęcia. Starałam się nie roztkliwiać nad samym problemem i dlatego bohaterem jest chłopak. Silny, prawie już dorosły chłopak, zupełnie współczesny, nie budzący taniego współczucia.

— Właśnie — odrazu zastanawia, dlaczego ten duży, zdrowy dryblas nie zajmie się sobą, ale zadręcza się błędami, grzechami i grzeszkami swoich rodziców.

— Widzi pani, nie chciałam, żeby cierpienia Franka wynikały z jego, powiedzmy, niedorozwoju fizycznego, czy z jego przeczulenia psychicznego. Tem silniej mogłam powiedzieć, czem są cierpienia dziecka, właśnie normalnego dziecka. Zdaje mi się, że te sprawy trzeba było raz wreszcie zobaczyć ze stanowiska dziecka. Jak każde dziecko, jest mój Franek egoistą i jego egoizm napotyka na egoizm rodziców. Nikt niema prawa ich potępić, a jednak musi ich potępić dziecko. Na tej płaszczyźnie niema rozwiązania dla dziecka, bo większe i bardziej naturalne, bardziej bezwzględne jest prawo dziecka. Dziecko sprawy rodziców odczuwa silniej, czasem nawet bardziej boleśnie niż własne. Jest to jakgdyby podświadome animalistyczne uczucie przynależności do obojga rodziców. Z nich się stało, do nich jeszcze należy. Dopiero gdy się uniezależni, gdy stanie się „całkowite", odrywa się od rodziców, może nie tyle uczuciem, ile świadomością własnej pełni.



HERMINJA NAGLEROWA

— To tłumaczy się w powieści pani bardzo wyraźnie. Chłopiec odchodzi i „staje się jednym z wielu". Znika z pola pani obserwacji i... prawdopodobnie popełni te same błędy, być może skaże swoje dzieci na takie same cierpienia. Czy pani lubi swoją ostatnią książkę? Wnikliwa, drobiazgowa, powiedziałabym Proustowska analiza przeżyć pani bohaterów dowodzi, że pasjonują panią te drobne, najdrobniejsze odruchy myśli i uczuć, któremi prawie podświadomie jest wypełnione nasze życie.

— Nie można na to odpowiedzieć, czy się lubi swoją książkę. Teraz nie umiałabym na to odpowiedzieć. Kiedy pisałam, miałam dziwne uczucie. Było tak, jak to mądrze i niemal niesamowicie określił Stanisław Brzozowski: ustalił się obieg krwi pomiędzy mną a dziełem. Ci wszyscy obcy ludzie byli ze mnie. A ta drobiazgowość, ta wnikliwość? Nie, to nie jest z Prousta, którego, wstyd się przyznać, nie znam. Muszę tu jeszcze coś powtórzyć za Brzozowskim, jeszcze jedno określenie, któremu się sprzeciwiam moim sposobem pisania, mianowicie: „patos wyjątkowości". Życie codzienne, szare, bez wielkich zdarzeń dźwiga na sobie — wielkie przewroty, fakty, dźwiga cały ten zmienny i ciągle twórczy bieg życia. Powieść musi tak samo udźwignąć swoją współczesność, te właśnie współczesne problemy, ale bez krzyku, bez wygrażania pięścią, bez „patosu wyjątkowości".

— W istocie, powieść pani to tragedja dnia codziennego. Niema między bohaterami wielkich rozgrywek czy decydujących scen, nic się właściwie w oczach naszych nie stało, a przecież ci wszyscy ludzie cierpią i dźwigają na sobie ciężar dramatycznych zdarzeń. Odnosi się to również do figur drugoplanowych, jak świetnie narysowany Iwaś, Klima, jak ojciec Franka, wygodny, rozpustny samiec, taki szanowany, przeciętny pan...

— Nie zależało mi bynajmniej na specjalnem oczernianiu mężczyzn, ojciec mojego bohatera to surowo i bezstronnie podpatrzony typ.

— Tak, to się odczuwa. I, dziwna rzecz, matkę chłopca, Zofję, rysuje pani równie bezstronnie, nie szczędząc jej w końcu prawie potępienia, ale mimo to współczujemy jej. Jest tu coś, co ją niemal rozgrzesza. Myślę, że to owa nienazwana krzywda kobiety, kobiety użytej, porzuconej. Dla syna życie idzie, życie mężczyzny, mąż zmieni jeszcze nieraz swoje kochanki, a ona, kobieta — już nikomu nie jest potrzebna.

— Zapewne, ale Zofja nie jest bez winy wobec — syna.

— Tak, to co mówiłam o Zofji to są moje wnioski i to wnioski najdalej prowadzące, bo w czysto ludzką, nietylko erotyczną i biologiczną wartość kobiety. Nie mieszczą się one w mojej rozmowie z panią. Pani założenie swoje postawiła jasno i rozwiązała celowo. Stosunek rodziców do dziecka musi jednak zainteresować dzisiejszych ludzi i znaleźć rozwiązanie. Tem bardziej, że małżeństwo przechodzi teraz kryzys, jest w dobie rewizji i domaga się również przewartościowania. Niewątpliwie ośrodkiem tej sprawy musi być dziecko. Powieść pani budzi tyle zagadnień, zazębiających jedno o drugie, że doprawdy, mogłaby stać się tematem studjum. Czy zamierza pani kontynuować przedmiot, poruszony w „Zawalidrodze"?

— Narazie nie. Obecnie przystępuję do pracy nad powieścią „pokoleniową". Terenem działania będzie Małopolska wschodnia, którą znam dobrze, bo tam się urodziłam. Więc prowincja i Lwów. Lata siedemdziesiąte ubiegłego stulecia aż po dziś. Nie historyczna powieść, ale właśnie znowu psychologiczna. Rodzina, jej dzieje, jej „karjery".

— Czy „Zawalidroga" będzie tłumaczony na obce języki?

— Książka ukazała się kilka tygodni temu, ale już mam propozycje od angielskiego tłumacza. Moje poprzednie tomy nowel: „Motyw księżyca" i „Matowa

---

*Herminja Naglerowa: „Zawalidroga". Powieść. Nakładem J. Mortkowicza, Warszawa, 1930.

kresa" będą tłumaczone na język francuski, angielski i czeski.

— Życzę „Zawalidrodze" powodzenia, na jakie rzetelnie zasługuje z powodu swoich walorów społecznych i artystycznych. Pani zaś, rozpoczynając pracę nad dużą powieścią pokoleniową, w której bohaterowie wywodzą się jedni z drugich, będzie miała wdzięczne pole dla swojej szczegółowej, koronkowej analizy psychologicznej.

MARJA MOROZOWICZ-SZCZEPKOWSKA (Warszawa)

MAKATY WIESŁAWY JASIŃSKIEJ

KĄCIK w Warszawie na Górnośląskiej — pełen smaku, piękna i wysokiego artyzmu. Obrazy Stabrowskiego i wytworne pełne zamyślenia głębokiego — szkice Bobińskiej-Paszkowskiej. Dziwne szafki, dużo, dużo kwiatów a przedewszystkiem makaty i makaty. Tak mieszka Wiesława Jasińska, artystka nerwowa, impulsywna i w swojej sztuce do pewnego stopnia zdobywcza.

Nie wiem, czy bardzo się omylę, gdy napiszę, że jej talent to



Bobińska-Paszkowska Portret Wiesławy Jasińskiej



Wiesława Jasińska
„W głębinach morza" I (makata)



Wiesława Jasińska
„W głębinach morza" II (makata)

u nas coś zupełnie nowego. Publiczność, a nawet pewna część krytyki, nie rozumie twórczości Jasińskiej. Stara się ją podciągnąć pod miano „sztuki zdobniczej", dekoracyjnej. I tu jest nieporozumienie. Bowiem sztuka Jasińskiej jest indywidualna, jest swego rodzaju malarstwem. Tylko nie przyzwyczailiśmy się jeszcze do tej techniki. Dla nas obraz musi być koniecznie malowany, albo rysowany.

A tymczasem *malarstwo sztalugowe zaczyna się przeżywać*. Artysta szuka nowych form, nowych środków, nowej techniki. A z drugiej strony ciągle jeszcze zupełnie fałszywie rozumiemy pojęcie „sztuka dekoracyjna". Zdaje się nam, że to jest robota stołka, kompozycja dywanu, poduszki. Nie możemy zrozumieć rozciągliwości tego wszystkiego co się kryje pod nazwą „sztuka dekoracyjna". Należałoby stworzyć już raz rzetelny pomost, łączący dekorację z sztuką czystą.

O ten pomost właśnie walczy Wiesława Jasińska.

— Nie chcę egzystować jako Jasińska, — mówi artystka bardzo rozumnie — nie wojuję o nazwisko, sławę, uznanie. Walczę o miejsce dla nowego rodzaju sztuki. Malarz rozciera na palecie farby, miesza je, komponuje i zestawia plamy. Ja rozcieram... worek, sznur, kamienie, szyszki, koście, brokat, gazę, jedwab. To jest moja paleta. Bogatsza od farb. To nie są makaty, to nie są „aplikacje" — to są naprawdę obrazy.

Zaczęło się dziwnie. Szkołę sztuk pięknych skończyłam w Moskwie. Wystawiałam obrazy w Odessie, Kijowie — ale to było nie to. To nie zaspakajało tęsknoty. To było dla mnie jakoby za ubogie. A tymczasem najprostsze formy nie urojone, ale żywe, rzeczywiste, formy otaczające nas ciągle przemawiały nie dając spokoju. Wyobraźnia pracowała. Stary but na śmietnisku przybierał kształty osobliwe, skorupy garnka, kamienie na torze kolejowym, deseń dziwaczny w korze drzewa, rysunek starej pleśni lub grzyba na podłodze to był świat, który się zaczął domagać ode mnie nie farb, ale zupełnie innych środków. Pierwszą makatę skomponowałam z worka, prostego

sznura, szyszek. Obraz dziwny. Oto koło śmietniska bolszewicy obgryzają kości baranie. Odchodzą zmęczeni. Czaszka barania przemawia do mnie czemś potwornem. Jest może symbolem tego co się w tym kraju dzieje. W domu umywam starannie, wygotowuję szczęki baranie, komponuję makatę a raczej obraz „*Smok*". Prosty worek, sznur, kości baranie, kamienie znalezione na torze kolejowym długim jak nędza życia. Malować liczne. Potrzebują komentarza. Narazie. Dopóki publiczność sama nie zacznie ich rozumieć i wyczuwać.

Wyobraźnia Jasińskiej — to wyobraźnia poety. Delfiny i łabędzie, fantastyczny świat dna morskiego, żmije i kwiaty, węże i mech, smoki i feniksy — to wszystko potrafi artystka wykorzystać jako symbol. „Miłość fatalna" i „Miłość srebrzysta", „Spotkanie w odmętach", „Twory na dnie morza", „Delfiny" — oto tytuły nie-



Wiesława Jasińska „Jęki duszy" (Makata)

można *wszystkiem*. I taka sztuka jest dla wszystkich. Mam makaty, których materjał kosztował setki a nawet tysiące, ale mam i takie do których kupowałam tylko prosty worek i sznur...

Na wystawie poznańskiej Jasińska dostała medal za swoje kompozycje, byli Amerykanie, którzy za małą makatę chcieli zapłacić 10.000 zł. Ale Jasińska swoich rzeczy nie sprzedaje, bo po pierwsze nie można komponować drugiego egzemplarza, a po drugie przygotowuje parę wystaw za granicę.

Na kwietniowej wystawie marynistycznej w „Zachęcie" warszawskiej były trzy wielkie makaty. „Jęki mew", „Poranek" i „Zmierzch".

Do „Jęków mew" artystka robiła szkic pałeczką w piasku, nad morzem polskiem. Dwie minuty, — to był pierwszy impuls. Ileż goryczy w załamaniu skrzydeł! Oczywiście wszystkie rzeczy Jasińskiej są symbo- których jej makat. „Są to niewidziane dotychczas poematy tkanin", — pisał prof. Stabrowski.

Technika jest bardzo żmudna. Jeden kwiat wymaga nieraz dziesięciu odmian sznurków różnej grubości i odcieni, nie mówiąc o kształtach i kolorach kamieni, o doborze barw brokatu czy innych materjałów. Łączą się tu perły z odłamkami kamienia górskiego, antyczny złotogłów z prostym workiem, muszle z szyszkami, kości z korą drzewa, paciorki ze skórą.

Osobliwe, nowe „malarstwo".

— Po każdej makacie jestem tak wyczerpana, że zdaje mi się, iż drugiej już nie zrobię. Ale znów przychodzi chwila osobliwa i poprostu bierze mnie za włosy. A ja znów tworzę — bo mam przeświadczenie, że jest to walka o nowy rodzaj sztuki.

Oto jakie nowe, osobliwe rzeczy dzieją się w pięknym kąciku przy Górnośląskiej. KAZIMIERA ALBERTI

HRABINA PROWANCJI

DRUGA KORONA RIKI PIASTÓWNY

Rika, córka Władysława II, wygnanego ks. polskiego i Adelajdy, poślubiła Alfonsa Kastylskiego, zwycięzcę Maurów, który zjednoczywszy prawie wszystkie królestwa Hiszpanji pod swem zwierzchnictwem, ogłosił się w r. 1135 cesarzem wszej Hiszpanji. Od ślubu w r. 1152 życie jej jest triumfalnym pochodem przez Hiszpanję, aż do śmierci Alfonsa w nieszczęsnej wyprawie na Arabów w r. 1157.

Prowancja w XII wieku dzieliła się: na nadmorską do Drwięcy (Durance), ze stolicą w Aix, — o którą spierała się od wieku barcelońska rodzina Berengarów z rodziną hrabiów Baux — i północną, pod zwierzchnictwem Tuluzy. Walka między rodziną Balceńską a Barcelońską linją młodszą stawała się coraz zajadlejsza. Hrabiowie Baux oddali się pod opiekę Cesarstwa, które dalekie, nierealne, lewemu brzegowi Rodanu patronowało. Rajmund Berengar IV, młodziutki hrabia Prowancji, wołał o pomoc do stryja swego, Berengara Barcelońskiego. Ten mądry i chytry dyplomata umyślił opiekę cesarską od Baux odwrócić, zaś ku swoim skłonić.

Oto w klasztorze, w Astordze, żyła młodziutka wdowa po Alfonsie VII cesarzu Hiszpanji, krewniaczka Barbarossy, cesarzowa Rika, córka Władysława II polskiego; ją postanowił Berengar Stary bratankowi dać za żonę a wraz z nią i opiekę cesarską. Lecz aby przy jednym ogniu dwie pieczenie upiec, trzyletnią córkę jej Sanszę synowi swemu, Alfonsowi Aragońskiemu zaręczył. Ułożył to z Sanszą kastylskim, pasierbem Riki i do Fryderyka słał posły. Cesarz, w walce z papiestwem, na wszystko się zgadzał czego pragnie Rika, tylko uznania antypapieża Wiktora żądał i zabezpieczenia wiana Riki, umiłowanej krewniaczki, dla której przekreślił niedawny przywilej oddający Prowancję hrabiom Balceńskim. Obłudny Berengar na wszystko chętnie przystał, nie myśląc dotrzymać. Nad nieszczęsnym grodem Baux zawisła zagłada, śmierć zabrała Balceńskim największego rzecznika Gibełta, Stablejskiego opata, który i śląskiej rodzinie był orędownikiem. Młody Rajmund Berengar IV, chcąc przed dostojną narzeczoną w sławie stanąć, pośpieszył zdobywać grodu Baux w Alpilach.

Tymczasem od Barcelony do Nicy wypłynęły okręty, jak z bajki. Rikę z klasztoru wyrwano. Na złoconych, purpurą i kwieciem okrytych nawach, pod namiotami złocistego syglatonu, ze śpiewem i gędźbą lir i wioli, jechało najprzedniejsze rycerstwo Katalonji i Prowancji do cesarza Fryderyka, do Turynu. Trubadurowie przedni: Gwilem d'Agoult, Piotr z Vernègue, Gwilem z Saint-Didier, Piotr z Owernji i Eliasz z Barjols towarzyszyli im. W Nicy spotkano zwycięskiego narzeczonego, Rajmunda Berengara, który, wedle kronikarza: miał lat 25, piękny bardzo, usta miał małe, nos wąski, otwarte nozdrza ruchliwe, płeć gładką, — dodać jeszcze: oczy jak sokół, szeroki w ramionach a wąski w biodrach, słowem bohater z *chanson de geste*.

Spotkali tam (tak chce Nostradamus) i słynnego trubadura, księcia Żofra Rudela z Bertrandem z Alamanonu, którzy właśnie ku Trypolitanji dążyli. Tak wielki był czar bezpośredniego zetknięcia z Riką, tylekroć zauważony, że nawet kochanek „księżniczki z oddali" odłożył swą ku Melisendzie podróż, aby obecnością swą wesele Riki w Turynie uświetnić i raz ostatni Rice i Europie zaśpiewać.

Przez alpejskie cieśnie, jary i podniebne przełęcze zstąpili na włoską ziemię, przez Tendę jadąc. W Turynie czekał ich cesarz, zwycięzca miast włoskich, zwłaszcza opornego Medjolanu, — czekał u boku cesarza brat Bolko Wysoki, sławą legendarną okryty przez zabicie zapaśnika, olbrzyma Włocha, pod Medjolanem,— czekał ojciec Władysław i Ulryk czeski i upokorzony wróg Hugo z Baux. Niestety w drodze, ledwie się cieśnie górskie w dolinę otwarły, w miasteczku Borgo di San Dalmazzo wesele w żałobę się obróciło — zmarł Berengar Barceloński Stary; w skórę go zaszyto, w srebrnej trumnie złożono. Orszak zaś do Turynu dalej pośpieszył. W październiku, w Turynie, 1162 roku odbył się ślub Riki z Rajmundem Berengarem, który hołd Fryderykowi z Prowancji złożył (zanim dla utrzymania równowagi pośpieszy i Ludwikowi VII francuskiemu z tych samych ziem hołd złożyć).

W Turynie zjazd był wielki i świetny. Legenda chce aby tam odbył się pierwszy, albo jeden z pierwszych „cours d'amour" — cokolwiek pod tem będziemy rozumieć. Przewodniczyła mu zapewne cesarzowa Beatrix burgundzka i — zachowująca tytuł cesarzowej — Rika. Pieśni były liczne i sławne. Pior z Vernègue i Eliasz z Barjols o wzięciu Jerozolimy śpiewali. Gwilem z Agoult o upadku zamku Baux, Gwilem z Saint-Didier, piękny nad pięknymi, o prawach miłości dwornej, Adhemar-Gwilem opiewał cesarzową Beatrix, sam Żofr Rudel pewnie swą pieśń tęsknoty do dalekiej księżniczki powtarzał i cesarz Fryderyk na gitarze grając, w prowanckim popisywał się języku. Język ten był wówczas językiem elity wszystkich księstw Hiszpanji, południowej Francji i Cesarstwa, które kurczowo trzyma się dziedzin nadrodańskich i włoskich aby podkreślić swój „zachodni", „kulturalny" charakter.

Śpiewał więc Fryderyk:

Plas mi cavalier Francez — Et la dona Catalana,
E' l'onrar de Ginoez, — E' la cour de Castellana,
Lou cantar Provançalez, — E'la dansa Trevisana,
E'lou corp Aragonez, — E'la perla Juliana,
Las mans et kara Anglez, — Et lou donzel de Tuscana.

(Podoba mi się rycerz francuski i katalońska pani, duma genueńska i dworność kastylska, pieśń prowansalska i taniec z Treviso, postawa aragońska i perła julijska, ręce i twarz angielska i młodzieniec toskański). Widać była to pieśń na cześć gości z różnych stron ułożona: każdemu komplement się dostał.

Powrót był napoły weselny, napoły żałobny, bo od Borgo di San Dalmazzo ciało hr. Barcelony w srebrnej trumnie niesiono, aby go w Katalonji pochować. Młoda para — jak prowansalscy kronikarze twierdzą, choć to często bajołapy są — okrutnie się w sobie rozmiłowała. By zły urok odegnać, na wyprawę krzyżową jechać chcieli. Ale czasy się odmieniły. Dawniej żadna zła wieść nie odwiodła krzyżowca od wyprawy, dziś — skoro tylko książęta na okręty siedli, przybieżała nowina o buncie miast — więc wrócili rychło, grody w posłuszeństwo przywodzić.

Rika, wzorem innych pań Południa, bierze czynny udział w rządach. W r. 1163 spotykamy ją sądzącą spór między Ajmarem przeorem Roquebruny a Paillolem przeorem Palason. Wówczas to policję w Prowancji Templarjuszom oddano, za co w znacznej mierze — jak zawsze policja — znienawidzeni zostali.

W Aix w 1165 r. odebrała młoda para hołd wszystkich miast południowej Prowancji w obecności licznych książąt Europy środkowej i Południa. Sam arcybiskup Arlu uznał ich zwierzchność. A ponieważ równocześnie odbierał tam hołd cesarz Fryderyk I, bawiąc z całym dworem w Aix, nic dziwnego że mógł się tam książę śląski spotkać z ową Alaïs, słodką córką Rajmunda z Baux, pogodzonego z Rajmundem Berengarem. Siostra jej wychowywała się na dworze teściowej Riki, Beatrycy Melgejskiej. Rok 1166 ma być rokiem jej małżeństwa z jakimś księciem polskim, jak chce tradycja i zapiski balceńskie. Rzecz ciekawa, że odtąd jakby za pośrednictwem Riki zmienia się zasadniczo serce Fryderyka: dla balceńskich książąt sypią się przywileje i łaski.

Choć rezydencją hrabiów Prowancji był zamek Mel-

gueil nad Zalewem Magelońskim, lecz rzadko ich tam spotykamy. Jedna z najstarszych wieżyc Południa wyrastała z łęgów, całą wilgoć pijąc z moczarów i zalewów Kamargi — dusze ludzkie pleśnią się w niej kryły. Siedziała tam matka, Beatrix z drugim mężem Peletem, znani z obłudy, fałszu, złości i chciwości szatańskiej. Nic dziwnego, że młodzi woleli grody górnej czy nadmorskiej Prowancji lub nawet pustacie Caussów.

Tymczasem — rok jest 1165 — pod St. Gilles zbiegły się floty Pizy i Genuy. Pizańczycy z rozkazu cesarza pojmać mieli papieża Aleksandra III, z Francji wracającego. Genua chciała go bronić. Rzecz działa się na terytorjum hrabiego Tuluzy, który jako lennik Francji, powinien był papieżowi pomagać. Cóż kiedy spotkał się z Riką i Rajmundem Berengarem w Belkajrze, gdzie w nadziei połączenia obu części Prowancji w jedno, mieli omówić sprawę zaręczyn dwuletniej córki Riki, Miłej (Douço), z dziewięcioletnim Rajmundem, synem Rajmunda V. W obecności arcybiskupów Tarragony i Gerony określono wiano Miłej, była niem połowa hrabstwa Forcalquier i hrabstwa Melgueil oraz część Awenionu. Ale stała się rzecz ważniejsza: między niedawnymi przeciwnikami — bo Tuluza stała po stronie hr. Baux — zapanowała nagła przyjaźń. Znowu trafiamy na wpływ jaki wywiera osobiste zetknięcie się z Riką. Może hrabia Tuluzy przy tem drugiem widzeniu postąpił w hierarchji rycerskiej miłości, może dostąpił stopnia trzeciego albo i czwartego, stał się już „*słuchany*", a może i ślubował! Dość, że z obrońcy Aleksandra gotów się zmienić w zwolennika Wiktora antypapieża, bo mu już po głowie chodzi rozwód ze starą Konstancją, choć ta jest i królową i siostrą Ludwika VII francuskiego, rozwód, do którego mu antypapież potrzebny będzie. Aby jednak wilk był syty i koza cała, Aleksandra III wypuszczają z pułapki, a rodzona matka Rajmunda Berengara ułatwia mu ucieczkę na morze z Magelony.

Znając Rajmunda Tuluskiego wiemy, że jeśli już wówczas postanowił poślubić Rikę, jej małżeństwo z hrabią Prowancji nie było dlań żadną przeszkodą. Kto wie czy nie przyłożył ręki do śmierci R. Berengara. Gdy ten z Riką odbierali hołd od zamków Caylus i Vigouron w jarze Tarnu położonych, wybuchł bunt w Nicy. Rajmund Berengar pośpieszył oblężeniem zdławić miasto i legł od zdradzieckiej strzały. Ledwie to się stało a już hr. Tuluzy znów jest nad Rodanem. W Saint-Gilles publicznie odtrąca żonę Konstancję, nie zważając na protest Tuluzy przywiązanej gorąco do królowej, ani na zemstę Ludwika francuskiego, swego suwerena i szwagra, ani na klątwę papieską. Pod osłoną antypapieża Wiktora poślubia natychmiast Rikę i występuje w roli mściciela. Za jego sprawą admirał Genui Grimaldi i Gerald z Simiany zwyciężają Nicę. Robert z Agoult zostaje jej zarządcą. Poległemu Rajmundowi Berengarowi sprawiają wspaniały pogrzeb. Zabalsamowane ciało składają w katedrze św. Jana w Aix. Trzy dni spoczywa na paradnem łożu śmierci okryta aksamitem trumna. Na aksamicie woskowe wyobrażenie zmarłego z koroną na głowie; stół bogato zastawiony przed trumną. Las świec płonących i co ranka msza św., 24 wołaczy pogrzebnych ulice przebiega dzwoniąc i wołając: „Ojcze nasz mówcie za najlepszego i najdostojniejszego księcia i do kościoła śpieszcie". Dwustu giermków pochodnie niesie; heroldowie biegną, wołacze dzwonią, zakony pokutne kaptury przywdziały. W dzień pogrzebu, w katedrze św. Jana wszystkie księstwa, hrabstwa i miasta Prowancji oddają hołd pośmiertny. Nad ciałem baldachim trzymają konsulowie grodowi w togach czarnych. Dzwonki wołaczy, żałobne zawodzenia mnichów, płacz ludu, — który w piersi się tłucze, szaty i włosy drąc, pazurami policzki orze — zapełniają wszystkie zaułki. Zwyciężonej Nicy posłowie na barkach trumnę niosą. Aż wreszcie po złożeniu ciała, stypa świetna łzy wszelakie suszy.



JAR TARNU

Rika odtąd jest panią Tuluzy. Dziedziczką Prowancji Południowej jest jej malutka córka Miła, którą zabiera Beatrix babka do zamku melgejskiego. Wśród moczarów i wyziewów Kamargi, trawiona gorączką i wizjami, zadręczona przez najbliższe otoczenie, skrzywdzona najboleśniej, za jedynego może opiekuna mając starego trubadura Piotra z Owernji, — nieszczęsna Miła gaśnie w dziesiątym roku życia.

ANNA LUDWIKA CZERNY



KRUŻGANEK PRZY KATEDRZE W AIX

DOM KTÓRY SOBIE UPODOBAŁAM

IV. POLSKI PARYSKI WIECZOR

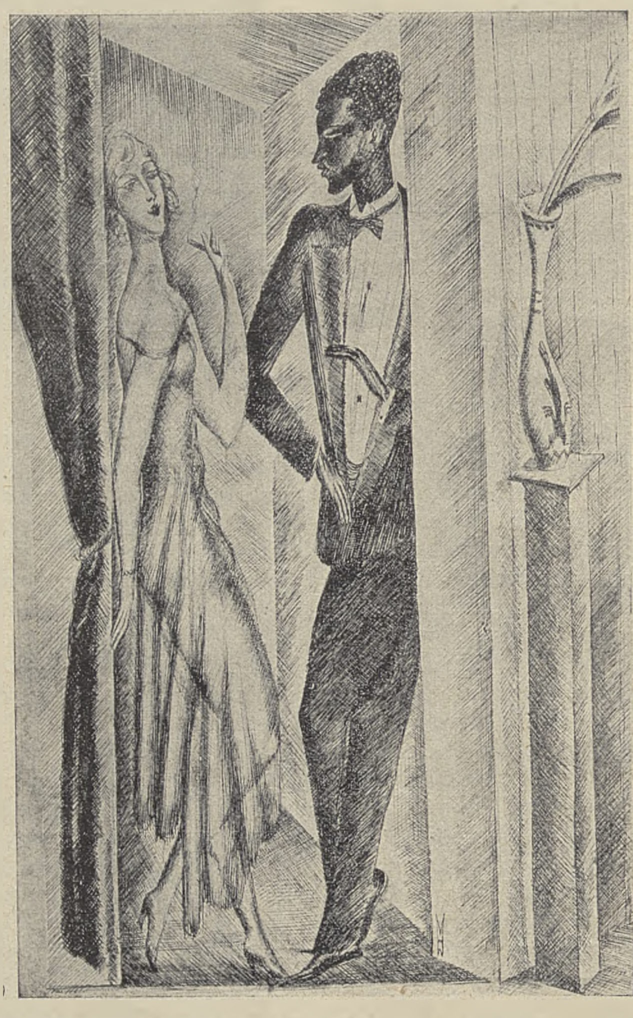
CZYLI że byli Polacy, jeden Hiszpan, jeden Murzyn i dla większej zebrania ozdoby — Francuzi.

Polacy to naród rozkoszny! Czasem chwalić się wolno... Polacy to naród rozkoszny, bo mówią wszystkiemi językami — jakby najbliżej wieży Babel stali. W owych bardzo dawnych czasach... Na polskiem, paryskiem przyjęciu rozmawiano po polsku, po francusku, po hiszpańsku. Ręczę, że gdyby znalazł się Anglik, to nie pozostałby 'poza nawiasem towarzystwa. Niemcowi też krzywdaby się nie stała. Włochowi ktoś zanuciłby neapolitańską piosenkę.

Nikomu francusko - bezsensownych pytań nie zadawano. Każdy każdemu cudzoziemcowi mógłby krótki wykład o jego rodzimym kraju wypowiedzieć. Coprawda po murzyńsku nikt nie mówił, ale wiele osób z całą pewnością wiedziało, że Dakar leży w Afryce, że boa dusiciel należy do rzędu węży których w życiu unikać należy.

Na polskim paryskim wieczorze musi być jakiś gorący patrjota, ożeniony z Francuzką, którego śliczna córka nie zna już ojczystego języka. Tyle nawet co ten Hiszpan, którego jakaś, widocznie w tem zainteresowana osoba, wyuczyła nietylko „Tak" i „Nie", ale nawet „Kocham Ciebie". Wzamian z pewnością swój międzynarodowy dykcjonarz wzbogaciła krótkiem a pożytecznem: „Jo te amo".

Muszą być polscy artyści — wzajemnie jednak siebie znoszący, korespondent pism krajowych, doskonale informujący Polskę o najnowszych prądach politycznych, literackich i music - hallowych. Wogóle kilka przyszłych wielkości. Czasem uczciwi ludzie też dopiero pośmiertną zdobywają sławę, nietylko ten pseudomarkiz i pseudo Champaubert, który za życia do grobu musiał się położyć, żeby skłonić oporną publiczność do mówienia o sobie.



Rys. A. Wysocki

Na polskim paryskim wieczorze muszą być ciastka od Fauchon i torty, każdy o innej nazwie: „Victoria", „Indiana". Musi być rozmowa o sztuce. Najpierw o grywanym od lat wielu w Odeonie „Różańcu" Florence Barclay.

— Teatr szlochał jak jedna kobieta... Niech pani pójdzie...

Francuzka oburzyła się:

— Od śmierci męża nigdy nie wróciłam do domu po dziewiątej...

Przyjezdny z Polski literat, z gwiazdą bliskiej sławy na czole, nie jest w stanie zrozumieć jak można mieszkać tak wysoko.

— Proszę sobie wyobrazić, kochany kolego, że jedna stróżka, — paryskie konsjerżki bywają poetyczne, — szóste piętro nazwała parterem ptasząt. To co poddaszem dla ludzi, jest pierwszym stopniem wywyższenia się ponad ziemię istot które latać umieją...

Życzliwi czynią różne inne krytyczne uwagi:

— Wolałam dawne pani mieszkanie, bo...

— Dlatego że...

Zapraszam do bufetu, na którym płoną świece.

— Jak to ładnie! Kandelabry!... Właśnie czytałam, że bal u księżnej Murat odbył się aux chandelles...

— Można kieliszek likieru? Poziomkowy, pachnie jak w lesie poziomki...

Jeden z panów dla pań o mocnych głowach a lekkich sercach przyrządza cocktail.

Patrzę na pełne jeszcze butelki i wielką ilość ciast. Gdyby to mieć francuski umiar! Francuzka wyliczy każdy kawałek, który kto zjeść może, i przyjęcie kosztuje o połowę mniej. Nasza rozrzutność zgubną jest dla kieszeni. Ale cudzoziemcy nie mieliby sposobności z zachwytem chwalić polskiej gościnności!

Brakuje gramofonu i tańców. Chociaż jedna urocza rzeźbiarka protestuje:

— Poco tańce? Ludzie inteligentni mogą rozmawiać...

Tę głęboką uwagę czyni zapewne dlatego, że nie lubi tańczyć. Że lubi flirtować, to widzę.

Murzyn żeby nieco wybieleć stara się wszystkim przypodobać.

Rozmowa toczy się dalej po polsku, francusku, hiszpańsku... Po murzyńsku nie...

Jak zwykle w podobnych wypadkach najmilszą dla pani domu jest chwila, gdy większość gości się rozejdzie, a pozostaną jedynie habitués i zaczyna się tamtych obmawiać. A potem dowiaduję się że przyjęcie było świetne, że wyglądało na o wiele więcej aniżeli kosztowało, że wszyscy doskonale się bawili. Pan X spotkał panią Z o poznaniu której dawno marzył, firma nr 1 zrobi może jutro dobry interes z firmą nr 2; co jest rzeczą niezwykłą, zgromadzeni Polacy w zgodnych ze sobą byli stosunkach, a jeśli kiedyś którąś z pań z którymś z panów łączyła miłość, a czas i inne okoliczności w nienawiść ją zmieniły, to nikt tego nie zauważył.

— Więc wszyscy byli zadowoleni?

Ludzie bezstronni składają przysięgę na prawdę swych słów. I raportują — głosy nieoficjalnej prasy:

— Mówiono, że pani przyjmuje wspaniale, jak burżujka...

— Szkoda, — nie poznali się... Przyjmuję jak artystka...

— Mówiono, że to szaleństwo... Szampan lał się...

— Czyż wyglądam na rozsądną kobietę?

— Już późno... Żegnajmy się... Pozostawiając panią w domu, który sobie upodobała...

— Tak, to jest dom, który sobie upodobałam... Ale nie wiecie o tem, że każdy byłby takim. Tam dom mój, gdzie ja jestem... Albowiem we własnej noszę go duszy.

A. W. (Paryż

SOBIESKI I MARYSIEŃKA

Drukujemy wyjątek z dotychczas niewydanego poematu Janusza Stępowskiego p. t. „Za króla Jana...", który przerobiony na widowisko plenerowe był wystawiony na arenie P. W. K. w Poznaniu w ub. roku i osiągnął duży sukces. — Scena przedstawia biwak na leśnej polanie w chwili znanej z historji, gdy król Jan III po zwycięstwie pod Wiedniem i Parkanami w 1683 r. wyruszył na spotkanie czekającej go w Starym Sączu królowej Marysieńki. W trakcie tej podróży przy biesiadzie polowej, w gronie szlachty wiwatującej, nachodzą króla troski o Rzeczpospolitą, a ich osłodę jedyną znajduje w myślach o ukochanej żonie.

...Król głośno nie pochwalał szlachty animuszu,
duszę zawarł milczącą w niebieskim kontuszu,
oczy przymknął i słuchał lotów pod powieką:
czaple pióro z kołpaku[1] wiodło go daleko
do lasów bednarowskich,[2] a skrzydło sokole
na szczyt włóczni zatknięte,[3] na wiedeńskie pole...
Pomniał wszytkie te czasy zamknione w Koronie
kiedy władzą mu jeno były własne dłonie
i ta troska na czole w pamięci wyryta,
jako w odmęt prywaty szła Rzeczpospolita
na sejmach gardłująca...

Ileż razy powracał z zwycięskiego dzieła,
ileż razy kraj wznosił dziękczynne „Te Dea"...
doma,[4] — geniusz królewski umierał na tarczy,
w boju mocarz, — u dworu sejmowi nie starczył!
Żałowano mu wojska i głosu sumnienia,
— ostatni miecz piastowy nocą się ocieniał.
Nie było inkszej mowy nad domowe swary,
sądy i kondemnata[5] bez prawdy i wiary,
radne słowo się stało sprzedajną kaletą,
a piorunem i zrutą[6] głos: liberum veto!...

...Oto widział go teraz: — od pochodni krwawy,
szedł ku niemu ze śmiechem śród biesiadnej wrzawy,
w kontuszu, szlachcic dumny, dygnitarz wysoki,
rękami w litym pasie trzymiąc się pod boki,
srodze ważny, powoli kroczył uroczyście,
jako słowo za słowem w urzędowym liście,
ramionami powietrze, niby drzewo, dzielił,
kołysał się, przy butach brzęczał z karabeli,
potrząsał, jak sakiewką, goloną czupryną,
wreszcie poźrał wzgardliwie i króla ominął...

Na łące księżyc w trawach promienie wypalił,
jakby świece woskowe na poselskiej sali
gdy o światła na izbie zakrzyknęły stany
w manifeście, że w mroku sejm został zerwany
z mocy prawa i woli mandatów...

Bór stanął śród okrzyków, jak ściana z szkarłatów,
a każde drzewo w tłumie chciało być z tysięcy
pierwszym głosem w tej ciżbie słuchanym najwięcej,
głową wyższą nad wszytkie, że z najlepszej kości,
ulem pełnym rozumu i rdzeniem ważności,
blokiem protestacyjej, gotowym za słowo
— chwycić za karabele i krzyczeć na nowo!...

Uderzyły języki świetlane, a w borze
zdało się, gmach wieżowy śród płomieni gorze,
ogień toczy powały, przyciesia dębowe
i druży węgła murów z krwi jagiellonowe...
W takichże zgliszczach stałaś Rzeczypospolita?

Król patrzył ponad lasem i gwiazd o to pytał.
— Jedna mi z nich ostałaś, ty, słodka Astreja,[7]
ozdobo mego świata — gwieździsta nadzieja,
pani kwietna za łaski szukana podziękom
gołębico snów moich, miła Marysieńko,
natchnieniu ducha!...

I ukrył twarz w swych dłoniach: szedł drogą niebieską
daleko od biesiady, na stare Olesko[8]
gdzie w dziecięcej kolibce na zamku oćcowym
słyszał tętent Tatarów i gwałt piorunowy
nad stawami rozległy, — w pierwszą noc żywota.
Wspomniał święty ogrojec z płonącego złota
na żółkiewskiem dworzysku i grobowca ściany
i płaszcz dziadka szablami na strzępy zrąbany,
chowany, — na ramiona dla pomsty Cecory...
Toże szedł w nim, dźwigając w pamięci klamory
testamentów hetmańskich i świętych rozkazów
Matki Bożej w koronie, patrzącej z obrazu...
Toż gdy przyszła godzina, podjął w Jaroszynie
głowę Lubomirskiego i szablę w daninie
przyniósł majestatowi Wiśniowieckich kornie.
Nie sprawował się tenczas królowi nadwornie,
w pasie litym na sejmach bo ojczyznę truły
inksze gorsze frasunki — zagońskie czambuły.
Sam szedł z garstką — skąpioną — przez spalone niwy
przez Krasnobród, Komarno na Kamieniec żywy
aż wiktorją uświetnił swe berło w Krakowie.
Ileż ten czas wiwatów wznosili panowie,
ci sami purpuraci szeleszczący w stroju,
którzy później żołnierzom w żórawieńskim boju
żałowali dostawić ołowiu i chleba...

...Tyżeś mi wonczas była, Marysieńko, z nieba,
jedną ducha pociechą i mocą w tęsknocie:
w karmelickiej kaplicy jako w boju — w rocie!...
Dłoniom król się spowiadał; śród biesiadnej ławy
nie był inkszej rozmowie łaskawie ciekawy,
do Sącza rwał się myślą, tam wzrok swój wysilił
by użryć swą hetmankę chociaj w śnie tej chwili:
kochanie najmilejsze, trzymiące koronę,
królowę, panią matkę, najśliczniejszą żonę...

Oto widział ją teraz na zamku śród dworu:
płynie w sukni z koronek, jak w zarzy wieczorów,
za nią w trenie frejliny, — tłum wzrokiem ją ściga,
dworzanie obcych stolic i sielska intryga.
Woła ją lecz nie słyszy: uśmiechem łaskawie
darzy pobok inaczej choć każdego prawie:
na posła francuskiego patrzy z za wachlarza
na kompliment wiedeńskich sług niby nie zważa
lecz za chwilę znów ujmie ich miłem pytaniem.
Jak desenie wzorzyste z fraucymerni panie
niosą głowy wyniosłe, zdobne w koafiury,
lekko trzymiąc w paluszkach naszyjników sznury.
U stóp pani królowej droga się rozściela,
jej kroki odzwierciedla nadworna kapela
w lotach zwiewna, jakoby w kształtnej melodyji
Kupido czerwień róży i białość liliji
pomieniał w serc podźwięki i do nóg królowej
złożył je niby dywan barwy kolorowej...
W krużganku zniknął orszak, światła pogasnęły,
jeno tony na drzewach w cieniu się rozpięły —
— liście żółte, jesienne, jakby z pióropuszy
strząsane smutnej ziemi i człowieczej duszy...

JANUSZ STĘPOWSKI

---

[1] Sobieski zamiast hełmu zwykł ubierać w bitwach kołpak, ozdobiony czaplem piórem; [2] W lasach bednarowskich podczas sławnych wypraw na czambuły tatarskie w 1672 r. pogromił Sobieski sułtana Adżi Giraja, mając zaledwie garstkę rycerstwa pod swem dowództwem; [3] Podczas wyprawy wiedeńskiej Sobieski, oglądając hufce miał przy boku chorążego, który niósł przed nim wysoką włócznię a na niej zatknięte skrzydło sokole: odznakę naczelnego wodza; [4] doma — w domu; [5] kondemnata — potępienie; [6] zruta — ruina, zniszczenie; [7] Astreą nazywał Sobieski w listach Marysieńkę; [8] Na zamku Olesko przyszedł na świat Sobieski. W dniu urodzenia zagon tatarski zapuścił się w tę okolicę.

MAY SINCLAIR

ANNA SEVERN I FIELDINGOWIE

Z ang. przełożył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski — Powieść. 21 —

Wszystko tam stało na swojem miejscu jak za czasów ojca: obszerna garderoba, biała marmurowa umywalka, łóżko, w którem umarł. Jerrold widział ojca leżącego w tem łożu i Anię, chodzącą pomiędzy niem a umywalką. Haftowane w papugi story wisiały z okien sztywno i nieruchomo.

Zadrżał, patrząc na to wszystko.

Myśleli, że będzie chciał tu spać, bo jest żonaty, bo Madzia zajmie pokój sąsiedni.

Lecz nie mógł tu spać. Nie mógł tu zostać ani przez chwilę; nie potrafił przestąpić progu bez bolesnego, pełnego wspomnień skurczu serca. Przeniósł swe rzeczy przez galerję, do pokoju Anny.

Będzie spał tutaj, będzie spał na białem łóżku, gdzie przedtem Ania sypiała.

Powtarzał sobie, że musi być blisko Colina: dzieli ich tylko kurytarz, drzwi można zostawić otwarte: oto dlaczego chce tu sypiać. Jednak wiedział, że to nie dlatego. Chciał tu spać, gdyż w żadnym innym pokoju nie mógłby czuć Anny tak blisko siebie, widzieć jej tak wyraźnie. Gdy nastanie świt, Ania będzie u niego, siedząc na swem krzesełku przy oknie. Okno wychodzi na zachód, na Upper Speed i Manor Farm. Tam gdzieś wśród drzew kryje się dom, a kędyś nad gankiem jest okno Aninego pokoiku.

Spojrzał na zegarek. Pierwsza. O drugiej pójdzie odwiedzić Annę.

2.

Gdy przyszedł na Manor Farm, Ani nie było w domu. Stary Ballinger wynurzył się ze zwieszoną głową z przybudówki, by mu oznajmić, że panna Anna pojechała na Zapole obejrzeć nowy traktor.

Zapole znajdowało się u zachodniego krańca majątku. Jerrold udał się tam. Pięć brózd, pięć długich pasem bronzowiło się na płaskiem ściernisku. U szczytu pola zobaczył Annę na czarnym koniu i stojącego przy niej Colina.

Z wielkim szczękiem i hałasem gramolił się ku nim na wzgórze nowy amerykański traktor, wlokąc swój pług. Przystanął i zawrócił w chwili, gdy Jerrold podszedł.

Lekki, rześki wietrzyk wionął poprzez pagórki. Jerrold uczuł nagłe szczęście i podniecenie. Zaczynał się interesować swym folwarkiem. Huknął:

— Hop-hop, Aniu! Wyglądasz mi na Napoleona pod Waterloo.

— Ba, spodziewam się, że nie pod Waterloo. Zamyślam wygrać swą bitwę.

— No to Marengo, Austerlitz... Wszystko, gdzie zwyciężał. Czy Curtis zna się na tej piekielnej machinie?

Młody Curtis, sztywny i posępny na swym koźle, wpatrzył się w nowego pana.

— Owszem, troszkę się uczył mechaniki. Byłby całkiem do rzeczy... gdyby tylko słuchał, co mu się mówi. Curtis, wszak zakazałam ci używać tych okrągłych lemieszy na tem polu. Przez dwa tygodnie złamaliście mi trzy sztuki. Nienadają się do kamienistego gruntu.

— Tu jeszcze pół bidy, proszę panienki; gorzej na wschodnim krańcu.

— No dobrze, zobaczymy. Puszczaj go w ruch.

Traktor ruszył z ogłuszającym klekotem. Wirujący okrągły lemiesz wrzynał się w ziemię, trzy duże boczne ostrza podchwytywały skibę i wywracały na jeden bok. Aliści ziemia, zamiast czysto opadać z brózd, wsypywała się nazad. Anna spieszyła się z konia, pobiegła za traktorem i wstrzymała go.

— Pług źle osadzony — rzekła. — Za głęboko.

Pochyliła się, wykonała coś tajemniczego a skutecznego zapomocą dźwigni; koła opadły, podnosząc ostrza do właściwego poziomu i traktor ruszył dalej. Tym razem skiba kładła się schludnie, z miarowym szelestem; trzy gładkie, połyskliwe fale pobiegły wzdłuż całego pola śladem potrójnego pługa.

— Jerroldzie, patrz, jakie trzy śliczne skiby. Spójrz, jak pysznie się posuwa. Pole będzie zorane w dzień lub dwa. Colin, cieszysz się?

Traktor wracał ku nim, hałasując nieprawdopodobnie.

— Nie, — rzekł Colin, — nie podoba mi się ten harmider. Czy mogę się wynieść, skorom już zobaczył, do czego to bydlę jest zdolne?

— Ano, lepiej odejdź, jeżeli nie możesz znieść.

Odszedł szybkim zrozpaczonym krokiem od straszliwego hałasu traktora.

Smutno patrzyli za nim.

— Jeszcze się nie wylizał. Nigdy chyba nie zdoła już znieść hałasów.

— Daj mu czas, Aniu.

— Czas? wszak to już trzy lata. To okropne. Nic mi mie pozostaje, tylko trzymać go zdala od traktorów.

Dosiadła konia i znów objeżdżała pole, wyprzedzając pługi.

Jerrold czekał na nią za miedzą.

3.

Było to niedzielne popołudnie, pomiędzy piątą a szóstą.

Anna była w domu, w wielkim stylowym pokoju na pierwszem piętrze. Barker uznał go za nazbyt obszerny i zrujnowany do zamieszkania. To też za jego czasów stał on pustką. Eliot go odnowił, a Jerrold umeblował. Czarne dębowe szafy bibljoteczne z dworu ciągnęły się wzdłuż ścian, ileże Jerrold oddał Eliotowi połowę ojcowskich książek. Pokój ten będzie gabinetem Eliota, gdy Eliot się sprowadzi. Tymczasem służył Annie za salon.

Okna były otwarte na szarą pluchotę dżdżystego wieczoru; ale suty płomień buzował się na dużem ognisku pod łukiem rzeźbionego kamiennego kominka. Anina sofa podsunięta była do ognia. Dziewczyna leżała na niej, znużona pracą całego tygodnia.

Była w domu zupełnie sama. Ogrodnik i jego żona spędzali niedziele u rodziny w Medlicote albo Wyck. Nie martwiła się ich nieobecnością, owszem, samotność sprzyjała wypoczynkowi. Lecz brakło jej Colina. Przed tygodniem siedział tu przy niej w fotelu, czytając. Dziś był z Jerroldem we Dworze. Chlupot kapuśniaczka przeistoczył się w mocniejszy stukot; opadła kotara dżdżu, rozgradzając siwe pola pomiędzy fermą a dworem, odosobniając Annę.

Wsłuchiwała się w deszcz, gdy naraz doszedł ją szczęk klamki u furtki i kroki na ogrodowej ścieżce. Kroki przystanęły pod oknem. Rozległ się głos Jerrolda.

— Aniu, Aniu, jesteś? Czy można?

— Ma się rozumieć.

Wbiegł po schodach. Oto jest w pokoju.

— Jakiś poczciwy, że przyszedłeś mimo tak strasznej pluchy.

— Dlatego właśnie przyszedłem. Pomyślałem, że ci tu nieznośnie samej jednej.

— A cóżeś uczynił z Colinem?

— Zostawiłem go w domu. Piekielnie hałasuje na fortepianie.

— Och, Jerroldzie, jeżeli gra znowu, to wyzdrowieje zupełnie.

— Już i tak nie wygląda, jakby mu czego brakło.
— Niewiadomo. Jednak tych traktorów znieść nie może.
— Więc musimy trzymać go zdala od nich. Czy są nam niezbędne?
— Uważam, że tak. Niezmiernie oszczędzają pracy, robotnik dziś drogi i trudno oń.
— Czy to dlatego zapracowywałaś się na śmierć?
— Wcale się nie zapracowywałam. Alboż wyglądam na nieboszczkę?
— Nie. Ale Eliot mi mówił. Widział.
— Własnoręcznie pomagam tylko podczas żniw i kośby. Przez całą resztę roku jeździ się tylko konno i dogląda, by inni pracowali. A teraz połowę obowiązków wziął na siebie Colin.
— Bądź co bądź, uważam, że pora ci dać temu pokój.
— Ależ jeśli ja dam pokój, wszystko się zatrzyma. Robotników trzeba pilnować koniecznie.
— Od czegóż ja jestem?
— Jerry, mój złoty, ty nie masz pojęcia o gospodarstwie. Nie odróżniłbyś owcy od barana.
— Skoro Colin się nauczył, to chyba i ja potrafię. Zresztą mogę sobie dobrać drugiego takiego Barkera.
— Nie tak to łatwo. Czy ci więc nieprzyjemnie, że zarządzam twoją fermą? Nie jesteś zadowolony ze mnie? Wcale nieźle dawałam sobie radę. Toż to siedemset akrów.
— Wiem, żeś sobie radziła przewspaniale. Nigdy ci tego nie zapomnę. I nigdy sobie nie daruję, że pozwoliłem na to. Nie wyobrażałem sobie, co to za kierat.
— Chodzi poprostu o to, że Colin czuje się lepiej, ja zaś byłam cały ten czas szczęśliwsza niż sądziłam, że nią być mogę.
— Szczęśliwsza? Więc przedtem nie byłaś szczęśliwa?
Nie odpowiadała. Wkroczyli na grunt niebezpieczny. Jeżeli zaczną mówić o szczęściu — — —
— Gdybym miała stąd wyjechać, — rzekła, — to tylko poto, by zacząć pracować na innym folwarku.
— Tak?
— Jerroldzie, chciałbyś, żebym odjechała?
— Ja?!
— Tak. Kiedyś tego chciałeś. A przynajmniej chciałeś odjechać ode mnie.
— Nie wiedziałem sam, co robię. Gdybym wiedział, nie uczyniłbym tego. Ale, Aniu, nie mogę o tem mówić.
— Więc, Jerry, powiedz mi tylko prawdę. Czy pragniesz, bym odjechała z powodu Colina?
— Colina?
— Tak jest. Z powodu tego, co ci twoja matka powiedziała?
— Skąd wiesz, co mi mówiła?
— Rozmawiałam o tem z Eliotem.
— On zaś powtórzył tobie? Boże święty, w jakim celu?
— Uważał za lepsze, żebym wiedziała. Tak też było w istocie.
— W jaki sposób?
— Nie umiem ci powiedzieć... Lecz Jerroldzie, to nieprawda.
— Ja wiem.
— Jednak sądziłeś, że prawda.
— Kiedy tak sądziłem?
— Wówczas; kiedy przyjechałeś mię odwiedzić.
— Czyż tak?
— Owszem. A i teraz nie będziesz mi kłamał.
— Hm, jeślim tak sądził, to przypłaciłem za to.
(Co miał na myśli? Przypłacił? Wszak to ona przypłaciła).
— Kiedy się przekonałeś, że to plotki? — zapytała.
— W trzy miesiące później, gdy mi Eliot doniósł o tem listownie. Lecz było już po niewczasie... Och, gdybyś mi była powiedziała. Czemu nie zrobiłaś tego?
— Przecie nie wiedziałam o twych podejrzeniach. Skąd miałam wiedzieć?
— Rzeczywiście, skąd miałaś wiedzieć? Kto mógł przypuścić, iż rzeczy wezmą taki piekielny obrót?
— Ale teraz wszystko w porządku. Dlaczego mówisz, że było po niewczasie?
— Bo też tak było. Miałem już żonę.
— Co chcesz powiedzieć?
— Chcę powiedzieć, że kłamałem ci, twierdząc, iż mi to wszystko jedno. Nie było mi to bynajmniej wszystko jedno. Gdybym nie myślał, że ty i Colin... Gdybym nie myślał tego, nie poślubiłbym Madzi. Poślubiłbym ciebie.
— Nie mów tak, Jerroldzie.
— Ha, żądałaś prawdy, masz ją tedy.
Wstała z miejsca i poszła do okna. Jerrold zbliżył się do niej wysunęła ręce na deszcz.
— Wciąż jeszcze pada — rzekła.
Chwycił ją za ręce.
— Byłabyś wyszła za mnie?
— Cicho, Jerry, cicho. Jesteś okrutny.
Trzymał ją za ręce.
— Wyszłabyś? Powiedz. Powiedz.
— No to puść moje ręce.
Puścił. Wrócili do kominka. Anna drżała. Jęła się grzać.
— Nie odpowiedziałaś — nalegał.
— Nie odpowiedziałam... — powtórzyła machinalnie.
— A to dlatego, że *byłabyś* wyszła. Dlatego, że mię kochasz. Kochasz mnie.
— Zawsze cię kochałam.
Mówiła jakby z wielkiej jakiejś odległości; jakby wieczystość jej miłości odsuwała ją od niego, stawiała ją poza jego dosięgiem.
— Lecz na co się zda gadać o tem? — nadmieniła.
— Ogromnie się zda. Dłużni byliśmy sobie nawzajem prawdę. Teraz ją znamy; wiemy, co i jak. Nie powinniśmy dłużej zwodzić siebie samych ani jedno drugiego. Przekonałaś się o skutkach zatajenia prawdy. Widzisz, jak drogo nas to kosztowało. I ciebie i mnie. Czyż wolałabyś w dalszym ciągu myśleć, żeś mi obojętna?
— Nie, Jerroldzie, nie. Zadaję tylko sobie pytanie, co mamy począć dalej.
— Dalej?
— Tak. *Dlatego* to pragniesz mego wyjazdu.
— Wcale nie. Dlatego to pragnę, żebyś została. Chcę, byś porzuciła pracę i żebyśmy znów używali rozkosznych dawnych rozrywek.
— Nie zmuszaj mnie do porzucenia pracy. To mój jedyny ratunek.
W rozterce przeszli od okna na kanapę. Usiedli po dwu jej stronach i długo tak siedzieli, milcząc. Ogień wygasał. Wieczór ciemniał w pluchocie. Spłynął na nich zmierzch, rozdzierający, niepokojący, zaciemniając ich twarze, czyniąc je dziwnemi i obcemi. Postacie ich majaczyły w tym zmierzchu, obce również i dziwne. Wielki biały kominek kamienny wznosił się mglisto.
Z zewnątrz, z kościółka za fermą, doszło dzwonienie na nabożeństwo.
I urwało się.
Nagle powstali, i Jerrold zbliżył się do niej, by ją wziąć w ramiona. Odpierała jego ręce, zawisła na nich, by go nie dopuścić.
— Och, Jerry, proszę cię, nie obejmuj mnie.
— Aniu, Aniu, pozwól! Kiedyś pozwoliłaś mi się ucałować. Nie pamiętasz?
— Teraz nie można. Nie powinniśmy.
A jednak wiedziała, że kiedyś to się stanie — kiedyś — jakoś. Lecz nie teraz. Nie w ten sposób. C. d. n.

NOWE WYDAWNICTWA

ROMAN DYBOSKI: „STANY ZJEDNOCZONE AMERYKI PÓŁNOCNEJ — WRAŻENIA I REFLEKSJE". — Książnica-Atlas, Lwów-Warszawa 1930. — Szczególne warunki 150 lat naszego bytu narodowego sprawiły, że stosunek polskiego ogółu do innych narodów opierał się zasadniczo na jednostronnem rozróżnieniu, czy były nam przyjazne, czy nie, i niejednokrotnie w tym względzie także kierował się legendą. Nasza **w i e d z a** o narodach powstaje dopiero dziś, kiedy zbliżamy się do nich w poczuciu naszej własnej państwowej samoistności i kiedy wyszedłszy z cienia partykularnych zagadnień uczymy się patrzeć na szerokie szlaki horyzontów światowych. Takie horyzonty światowe otwiera przed nami ostatnia książka prof. Romana Dyboskiego o Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej.



ROMAN DYBOSKI

Napisana na podstawie **w ł a s n y c h** doświadczeń w czasie dwukrotnego pobytu w Stanach Zjednoczonych *, książka ta ukazuje nam w skrócie syntetycznym potężne życie Ameryki współczesnej, rozpatrywane w stosunku do reszty świata, z uwzględnieniem jej tradycyj i jej przyszłych możliwości. Przejawy życia tego państwa-kontynentu i 120-miljonowej ludności, w naszych oczach przekształcającej się w naród, ogromem swym i splątaniem przytłaczają widza z Europy i wszelką próbę syntetycznego ich przedstawienia czynią szczególnie trudną; w mocnem ujęciu prof. Dyboskiego jednak, grupują się one w uporządkowane kompleksy, a w świetle jego przenikliwego rozumowania wydają się nam jasne, niemal proste. Dodać przytem wypada, że książka ukazała się w rekordowo krótkim czasie po powrocie autora z Ameryki.

Z wielu względów był Roman Dyboski do napisania takiej książki predestynowany. Znakomity znawca kultury angielskiej i stosunków brytyjskich, przystępował on do amerykańskiego odłamu świata anglosaskiego — jeżeli jednak za taki, choćby ze względów językowych, Stany Zjednoczone uważać będziemy — jako klasyczny przedstawiciel kultury europejskiej, operujący wyjątkowo rozległym naukowym aparatem porównawczym jej właściwości rasowych i narodowościowych na polu nietylko literatury, ale także zagadnień społecznych i ekonomicznych, zgłębionych przez lata studjów i przez dłuższe z rozmaitemi jej narodami pożycie. Przystępował on przytem do kultury amerykańskiej z bezstronnym spokojem uczonego, w pragnieniu „rzetelnego zastanowienia się" nad jej odrębnością i stąd to prawdziwie głębokie skontrastowanie umysłowości europejskiej i amerykańskiej, które przenika całą książkę.

Już na samym wstępie, mówiąc o pozycji Ameryki w świecie dzisiejszym, przygotowuje niejako prof. Dyboski umysł czytelnika do skali nowych rozważań, rzucając świetne zestawienie Stanów Zjednoczonych i Rosji sowieckiej. Zdumiewające to, ale niemniej przekonywujące porównanie staje się równoważnikiem naszej wiary w wyłączność pewnych amerykańskich zjawisk.

Przed przystąpieniem do ściślejszej ich analizy poświęca autor opisową część książki najwłaściwszemu typowi skupień ludnościowych Ameryki — miastom. A więc przesuwa się przed nami Nowy York z wieżami swych drapaczów, których nowożytnemu pięknu poświęca prof. Dyboski dłuższy ustęp, ze swą Bibljoteką Publiczną i swem Metropolitalnem Muzeum Sztuki, z jego teatrami i kinami i jego mrowiami ludzkiemi, które jak fale, w okresie „rush hours" przypływają i odpływają z centrów pracy. Przesuwa się przed nami Chicago, stolica „Środkowego Zachodu" (Middle West), brzydotę swych dawniejszych przemysłowych okręgów okupująca zgoła innym planem nowo zabudowanych dzielnic z królującą wśród nich Michigan Avenue wzdłuż bulwarów jeziora tego imienia, w perspektywie wspaniałych gmachów muzealnych. Przesuwa się przed nami arystokratyczny Boston w pięknie swych starych, stromych uliczek i biały Waszyngton, na zamówienie według francuskiego planu zbudowany, w przepychu swych reprezentacyjnych budowli, swej kwitnącej roślinności i południowego już światła. Przesuwa się przed nami rojąca się bardziej niż inne miasta od ruchu pieszego historyczna Filadelfja i stolica przemysłu samochodowego Detroit i cały szereg mniejszych miast, górniczy Pittsburg, Baltimore, Buffalo, Cleveland, Milwankee i ogrodowe miasta jak Springfield i Pittsfield. Przesuwa się przed nami wreszcie „conntry" — łąki i lasy, bo nie podobna powiedzieć: wsie, poprzecinane sczerniałemi wstążkami asfaltowych gościńców i zdradzające dawny, a dziś szczególnie ostry kryzys rolnictwa.

Ukazawszy nam Amerykę z lotu ptaka, przechodzi prof. Dyboski do studjum ludzi i życia. I tutaj ogromnie wyraziście występują dwa zasadnicze fakty, które u założenia wszelkich rozważań na temat Ameryki dzisiejszej postawić sobie trzeba, a mianowicie, że „do Ameryki... należy stosować kategorje dynamiczne, należy o niej myśleć nie jako o czemś, co jest, ale jako o czemś co się tworzy i gwałtownie, gorączkowo przeistacza" — i że najciekawszy, najistotniej amerykański, nowy okres rozwoju Stanów Zjednoczonych dopiero się rozpoczął z momentem wydania ustaw antyimigracyjnych. Okres ten, oparty o bogate podstawy kultury materjalnej zdaje się i pod względem duchowym zapowiadać nowe wielkie wartości. Objawy tego widzi Prof. Dyboski w niezadowoleniu z obecnego życia, które występuje wyraźnie zwłaszcza u młodzieży i w literaturze. Powieść amerykańską ostatniej doby charakteryzuje z jednej strony duch satyryczny, z drugiej uwidoczniające się także i w bujnym rozkwicie poezji w ostatnich latach — odrodzenie idealizmu.

Rozdział o literaturze amerykańskiej jest jedynem znanem mi przedstawieniem czytelnikowi polskiemu jej całokształtu. Jakkolwiek tak zwięzły, zakreśla on wyraziście jej zasadniczą linję rozwojową, uwypuklając ją przez świetne sylwetki najwybitniejszych pisarzy; przez wskazanie zaś szczególnych wartości w literaturze lat ostatnich, jakże jest znamienny dla prawdy o zapowiedzianym rozkwicie ducha amerykańskiego!

Zanim jednak przyszłość potwierdzi te przewidywania co do swoistego rozwoju duchowego Ameryki, jest ona w swem obecnem stadjum najtypowszą reprezentantką kultury materjalnej i takiej autor poświęca jądro swych rozważań.

Przedstawiwszy w osobnym rozdziale podstawy dobrobytu materjalnego dzisiejszej Ameryki, zastanawia się nad zależnością psychiki przeciętnego Amerykanina od jego warunków materjalnych. I tu podziwiać musimy przenikliwość z jaką autor przedstawia odrębne, umysłowości europejskiej obce cechy tej psychiki: jej skłonność myślenia o wszystkiem w „kategorjach raczej ilościowych jak jakościowych" i, bardziej już podmiotowem odniesieniu, w „kategorjach zbiorowości i zbiorowego wysiłku". Jawność życia amerykańskiego przytem, przejawiająca się najkrzykliwiej w reklamie a ściśle związana z masową produkcją, uwydatnia nużącą jednostajność przeciętnego „typu człowieka i typu myślenia". Na silniejsze zindywidualizowanie przeżyć przeciętnego Amerykanina nie wpływają nawet dwa największe kataklizmy życia ludzkiego — miłość i śmierć, ponieważ — w Ameryce kataklizmami być przestały... miłość głównie dzięki łatwości rozwodów, śmierć, bo się ją celowo przeocza. Ustępy w których prof. Dyboski wydobywa na światło te prawdy o duszy amerykańskiej, kryją pod syntetycznemi skrótami głębię pracy myślowej, jaką najlepiej mogą ocenić ci, którzy żyli w tym kraju z jego ludźmi w atmosferze serdecznej przyjaźni, a którym przecież bywało między nimi bardzo ciasno...

Inny aspekt życia amerykańskiego przedstawia rozdział p. t. „Polityka". Wykazuje tu autor, z prawniczą ścisłością przechodząc kolejno władzę prezydenta Stanów Zjednoczonych, sposób wybierania Izby Wyższej, stosunek partji demokratycznej do republikańskiej — ile to jednak idealizowania tkwi w powojennej tęsknocie Europy ku wzorom amerykańskiej demokracji. Niepodobna mi na tem miejscu pominąć tego, co prof. Dyboski mówi przy tej sposobności o kobietach amerykańskich. Przyznaje on im naogół więcej zrozumienia dla zagadnień ogólnych niż mają mężczyźni i w udziale kobiet w życiu politycznem upatruje drogę do naprawy moralności politycznej! *

Co więcej, przewiduje on, że wogóle w życiu publicznem Stanów Zjednoczonych kobiety odegrają w najbliższym czasie doniosłą rolę dzięki, częściowo, coraz powszechniejszemu obejmowaniu przez nie placówek nauczycielskich, a głównie — i to zwłaszcza w odniesieniu do kobiet prowadzących dom — przez pracę samokształcącą.

Dwa ostatnie najobszerniejsze rozdziały książki poświęca autor kwestjom, do których szczególnie się zbliżył w czasie swego objazdu wykładowego, mianowicie życiu uniwersyteckiemu i sprawom naszego wychodźtwa. Na ten ostatni pragnę zwrócić szczególną uwagę. Zetknąwszy się z okazji pracy oświatowej blisko z naszem wychodźtwem, nasłuchawszy się jego gorzkich

---

* Prof. Dyboski odbył 6-miesięczną turę wykładową w Stanach Zjednoczonych jako pierwszy „wymienny profesor" Fundacji kościuszkowskiej. Po raz drugi odwiedził Amerykę jako członek rządowej delegacji polskiej z okazji obchodów w 150-cioletnią rocznicę śmierci Pułaskiego. Liczba wykładów i przemówień, które tam wygłosił, dochodziła 300-tu,

* Jak żywa ilustracja tego stwierdzenia, przypomniał mi się żywo moment, kiedy wszedłszy w czasie posiedzenia do Senatu amerykańskiego w towarzystwie wybitnej socjologiczki i historyczki Dr Kingsburg, zauważyłam, że zbladła naraz jak ściana. Mowca wysuwał właśnie nowe zarzuty w sprawie osławionej panamy Sinclair Oil. Dowiedziałam się później, że był w nią wmieszany i ówczesny prezydent Stanów Coolidge. Dr K. nie mogła widocznie znieść tej myśli. Po paru minutach opuściłyśmy salę.

skarg i zarzutów pod adresem Polski, w Polsce zaś narzekań nad ich wynarodowieniem, pragnę stwierdzić, że prof. Dyboski wypowiedział tu wszystko, co w tej kwestji można powiedzieć najszlachetniejszego i najbezstronniejszego. Zarazem wskazuje on jedyne realne rozwiązanie tego problemu: nasz udział w budowie „harmonji europejsko-amerykańskiej" przez — Amerykanów polskiego pochodzenia.

Wskazaniem dwu biegunów wielkich zadań kulturalnych Polski, rosyjskiego Wschodu i transatlantyckiej Ameryki — jakby interpretacją naszych romantycznych ideałów mesjanistycznych według zadań najbliższych czasów — kończy prof. Dyboski swą książkę.

A więc wśród coraz częstszych na Zachodzie studjów o Ameryce, pojawił się wreszcie poważny polski głos. Mówi on czytelnikowi polskiemu w krytycznych słowach o państwie, które osiąga dziś hegemonję nad światem. Ale prócz tego, rzuca szereg myśli, które ocenić w pełni będzie można dopiero za dziesiątki lat.

MARY PAT

NA MARGINESIE „LENINA" OSSENDOWSKIEGO. Gdyby „Lenin" był dziełem nieznanego pisarza, niktby się nim poważnie nie zajmował jako książką zgoła niepoważną, miejscami wręcz śmieszną do rozpuku, ale ta bardzo gruba, okazale wydana powieść jest przecież tworem pisarza — mimo wszystko — bardzo popularnego, stojącego na wysokim stopniu poczytności zagranicą, w Niemczech przedewszystkiem, pisarza polskiego, tłumaczonego na wiele języków! A więc to już nie błahy szczegół pospolitej, nieśmiertelnej grafomanji, ale zjawisko niezmiernie charakterystyczne, dla naszej współczesności i dlatego zasługujące na odpowiednią ocenę publiczną.

W ocenę literackiej strony powieści nie chcę się dłużej wdawać, najpierw dlatego, że jużto bardzo dobrze uczyniono w „Wiadomościach Literackich" i w „Tęczy" poznańskiej a potem dlatego, że jest to pole do popisu raczej dla zdolnego humorysty. Bo też są w „Leninie" literackie „wyczyny" godne ucznia 6 klasy gimnazjalnej, na dowód czego wystarczy przepisać dosłownie pierwszą lepszą stronicę „dzieła", że tylko przypomnę pomysł Dzierżyńskiego — Wallenroda i arcykomiczny w swym infantylnym romantyzmie obraz Lenina na tle burzy w górach. Rzeczy akurat na tym samym poziomie, co np. „Żywy Budda" tegoż autora z nieprawdopodobną — jak na wiek piszącego — mesjaniczną apoteozą hr. Ungersterna...

W ogólności brak jest p. Ossendowskiemu podstawowej zdolności pisarza, powieściopisarza przedewszystkiem t. j. artystycznej obserwacji przedmiotu. Brak tem bardziej uderzający u pisarza podróżniczego, egzotycznego, któremu koloryt lokalny przez swoją odrębność znakomicie ułatwia zadanie zainteresowania wyobraźni czytelnika — a który, w wypadku Ossendowskiego, tak nie potrafi narzucić nam charakterystycznego, plastycznego obrazu przedmiotu, że, gdybyśmy nie wiedzieli skądinąd o autentyczności jego autopsji zdarzeń i ludzi, wówczas, na podstawie samego tekstu, musielibyśmy tej autopsji stanowczo zaprzeczyć. „Lenin" np. robi wrażenie dzieła, pisanego na podstawie takich wiadomości o Rosji, jakie ma do dyspozycji cudzoziemiec, co kraj ten poznał tylko z gazet i to nieilustrowanych.

Prócz tego drugi brak zasadniczy: brak umiejętności spojrzenia w duszę ludzką, brak również taki dokumentny, że w całym dorobku „artystycznym" Ossendowskiego nieznam jednej, choćby podrzędnej postaci, którаby mi przypominała człowieka z krwi i kości. Wszędzie drewniany szablon, frazes i nic więcej. Podziwiać tylko należy tę żelazną wytrwałość w pisaniu funtowych tomów, i tę dziecinną beztroskę, dziecinne zaufanie do samego siebie... Człowiek niewidzący ani siebie, ani drugich... Wszystko razem — mówię ciągle o stronie literackiej dzieł Ossendowskiego — doskonale harmonizuje ze zjawiskiem rozmaitych Benoitów, Marguerite'ów, Wallace'ów i t. p. pisarzy, oskubanych starannie przez naturę z najdrobniejszego pierza istotnego talentu, pisarzy równie popularnych. Zjawisko małości, która korzystając z ogólnego obniżenia się kultury powojennych społeczeństw, udaje wysokość per nefas, nie cofając się często przed najniesmaczniejszem reklamiarstwem. (Por. historję z rzekomą konfiskatą „Lenina" we Włoszech i Jugosławji). Dla Polaka jest w tem ta rzecz przykra, że, podczas gdy wiele arcydzieł piśmiennictwa polskiego, nie może znaleźć tłumacza i dostać się do świadomości zagranicy, wówczas takie „Leniny" rozbiegają się odrazu w kilku językach, i to krzykliwie, po ulicach cudzoziemskich miast, budząc zainteresowanie czytelniczej gawiedzi a grymas lekceważenia, politowania na twarzach elity społeczności.

W artykule niniejszym chodzi mi jednak raczej o drugą stronę zjawiska, któremu na imię: „Lenin" Ossendowskiego — o tę mianowicie, co dotyczy moralnej i myślowej postawy autora wobec najważniejszych zagadnień współczesnego zbiorowego życia. Fakt jest taki: W pierwszej i to dużo większej części dzieła, p. Ossendowski apoteozuje Lenina jako obrońcę i mściciela proletarjatu rosyjskiego w szczególności i proletarjatu wogóle, w drugiej zaś niedużej, końcowej, wyprawia dziwne wykrętasy myślowe na szkodę i niebezpieczeństwo zwykłej logiki, aby potępić ostatecznie dzieło rosyjskiego dyktatora.

Co do owej pierwszej części, to mam najpierw tę podstawową wątpliwość, czy jegomość — ten, czy ów — który swoje życie powszednie układa według wszelkich prawideł zwanych z przekąsem „burżuazyjnemi", ma prawo przemawiania imieniem dyktatury proletarjatu, a choćby tylko krzywdy proletarjatu? Skąd ten arcykomiczny widok eleganta w lakierkach i pysznie skrojonem ubraniu, biegnącego wraz z obdartym nędzarzem na barykady wyzysku? U ludzi zwykłych i pisarzy żadnych, nie biorących pełnej, moralnej odpowiedzialności za to, co piszą, rzecz do wytłumaczenia prosta: miło jest używać wszelkich wygodnych dobrodziejstw współczesnej cywilizacji i miło jest równocześnie kłaść na głowę czapkę frygijską rewolucji, bo ona dziś przydaje człowiekowi wdzięku, głębi intelektu, aromaciku grozy, siły, szmeru poczytności a ostatecznie nie musi być w obecnych warunkach hełmem szturmowym, będąc najczęściej miękką, jedwabną szlafmycą...

Ale jeżeli to samo zjawisko występuje u pisarzy wybitnych? I jeżeli połączy się z niem drugie, takie mianowicie, że np. J. Kaden Bandrowski trzyma w jednej ręce (prawej) kolorową chorągiewkę ułańską i oddaje nią zamaszyste ukłony generałom, w drugiej zaś (lewej) ściska proletarjacki browning i całuje się w oba policzki z podpalającym Paryż Jasieńskim??

Odpowiadają na to niektórzy tak: Dusza artysty jest jak powierzchnia czystej, przezroczystej wody. W zwierciedle tem odbija się wszystko, co się dzieje na brzegu, wszystkie przechodzące mimo i ginące gdzieś potem w oddali postacie myśli, zagadnień, chwilowych nastrojów, namiętności, rozczarowań, nadziei i tak dalej i dalej. I to wystarczy, że się odbijają, byle pięknie — a że ich niema pod powierzchnią, że na dnie wody często siedzi żaba, to już czytelnika nie obchodzi nic...

Otóż, najpierw, co do owej tafli wody czystej, to niechże artysta będzie naprawdę takiem zwierciadłem, odbijającem wszystko, ale nie zwierciadłem wody bezbarwnej, obojętnej, nijakiej! Tylko żeby w określonym kolorze duszy odbijane kształty życia rozwiązywały swoją nieharmonijną różność w akordzie jedności, jaką jest wyjściowa, podstawowa tonacja barwna mego wewnętrznego „ja"! Tylko taki trwały i jeno czasem w dysonansie zwątpienia ginący ton duszy uprawnia artystę do zabierania głosu w sprawach pospólnego życia, tylko taki właśnie ton dał owo prawo Żeromskiemu, który wprawdzie nie miał jakiegoś jasno sprecyzowanego programu życia zbiorowego, który kołysał się często między dwoma biegunami możliwości w układzie stosunków ludzkich, ale wyjściowa tonacja jego organizacji psychicznej: jego najszlachetniejszy niekłamany humanitaryzm godził w sobie różne wysiłki zmierzające tak do wielkości narodu jak i do wyzwolenia wszystkich pokrzywdzonych i upośledzonych.

Okkultyści mówią o t. zw. aurze, jaka otacza każdego człowieka. Jest to rodzaj barwnego poblasku, który spostrzegają wtajemniczeni wokoło istot żyjących. Barwy tego poblasku, aureoli, aury są rozmaite, zależnie od indywidualności danej jednostki. Jeżeli człowiek jakiś nie jest nastrojony na pewien określony mocny ton duszy, wówczas jego aura jest niewyraźna, jakby spłowiała, do niczego. Pół psa — pół kozy... Ni pies, ni wydra... To też gdyby wtajemniczony powiódł metapsychicznem okiem po wielu współcześnie piszących, spostrzegłby wokół ich głowy taką właśnie aurę — nijaką.

Jest to podobno postęp taka właśnie atonalność, do której musi się dopiero przyzwyczaić ucho, wychowane na konserwatoryjnych t. j. zachowawczych gamach, podobno jest także postępem heraklitowa płynność charakterów, dzisiaj jestem kimś innym, niż byłem wczoraj, że mogę się dziś wyprzeć z czystem sumieniem postępków jegomościa, co wczoraj nosił moje imię i nazwisko, bo niema żadnej jedności — więc też i nad tak grubą książką jak „Lenin" pracował tylko pozornie jeden człowiek t. j. p. Ossendowski a w istocie było przytem kuchmistrzów więcej i stąd owe sprzeczności, niekonsekwencje, koziołki i figle.

— — — — — — — — — —

A teraz, na koniec, czy to naprawdę nic nie obchodzi czytelnika, że któryś autor komunizujących powieści ubiera się u pierwszorzędnych krawców i obnosi po księgarniach swoje fotografje?

Powiadają: Bierz go licho, byle pisał mocno! Otóż to właśnie, że taki pan nie będzie nigdy pisał mocno. Może być nawet takim majstrem języka jak sam Słowacki, to przecież wyszedłszy na Kordjanowy Mont Blanc, aby na nim udawać mickiewiczowskiego Konrada, będzie przemawiał akurat tak samo jak Kordjan, to jest mdło, bez wyrazu i przekonywującej siły.

Aby pisać mocno o czem, trzeba najpierw to coś przeżyć mocno, do samego dna — i bez kompromisów.

KAZIMIERZ BROŃCZYK

Z HIGJENY I KULTURY CIAŁA

II (Dokończenie)

HIGJENA okresu przejściowego jest niezmiernie ważnym momentem, o którym zapominać niewolno. Odpowiednio uregulowany tryb życia może zapobiec wielu dolegliwościom, uratować urodę przed zniszczeniem i odsunąć jej zmierzch w jak najdalsze czasy.

W prawidłowym przebiegu okresu przejściowego, oprócz wahań w odpływach miesięcznych, o czem była mowa w poprzednim artykule, nie dzieje się właściwie nic takiego, coby i w innych okresach życia nie mogło się zdarzyć. Np. przypadłości nerwowe, żołądkowe, nudności, omdlenia, nierówne usposobienie, uderzenia krwi do głowy, zmiany w cerze i t. p. Objawy te notowane są w okresie dojrzewania, w odmiennym stanie, w wieku średnim, a także niewolni są od nich i mężczyźni. Tylko to się już tak jakoś utarło, że wypominamy ten okres kobietom przy każdej sposobności, zwalamy nań najprostsze rzeczy i każdą zmianę w kobiecie fizyczną czy moralną, każdy odruch nieoczekiwany wesołości lub smutku — wszystko szablonowo podporządkowujemy pod ten okres. Czasem nawet robią to ludzie z widoczną złośliwą intencją czy satysfakcją, jakże bardzo nie na miejscu. Bo czyż myślący człowiek może brać za cel złośliwych wycieczek stan fizjologiczny, któremu, o ile dożyjemy tych lat, ulec musimy nieuchronnie wszyscy? I to tak dobrze kobiety, jak mężczyźni; rzecz jasna, ci ostatni wśród innych objawów. Sprawę tę omówimy w osobnym artykule.

W okresie omawianym wymaga czynność, określana dyskretnie jako „toilette intime", wzmożonych zabiegów. Skrupulatne zmywania, powtarzane kilkakrotnie w ciągu dnia, zapobiegają ewentualnym wypryskom i swędzeniu. A gdy czasem zmywania zewnętrzne nie wystarczają, wówczas zachodzi potrzeba przepłókiwań wewnętrznych ciepłych i aromatycznych, albo nawet antyseptycznych. Oczywiście, stosować je można dopiero po konsultacji u lekarza i wedle jego wskazówek,

Przy tendencjach do uderzeń krwi do głowy i zaparć polecane bywają wlewki i środki przeczyszczające, które sprowadzają pożądaną ulgę. Wybór środków jak i odstępy czasu w stosowaniu ich zależne są od ogólnego stanu zdrowla i oceny lekarza.

Ważna dziś kwestja uprawiania sportów przedstawia się następująco. Kobiety żyjące w stałym, rozsądnym treningu, mogą je nadal uprawiać z małemi zastrzeżeniami. Unikać forsownych, rekordowych wysiłków, i przemęczeń, ograniczyć godziny poświęcane zazwyczaj tym rozrywkom, a przy najmniejszej dolegliwości zupełnie zaniechać aż do ich całkowitego ustąpienia.

Jazda konna niedobrze w tym okresie działa — musi więc być nader umiarkowana; tylko w te dni, w których kobieta czuje pełnię sił, może odbyć przejażdżkę konną.

Sport automobilowy, który powoduje skrzywienia organów rodnych kobiety i kongestje, musi być, o ile nie zupełnie zarzucony na pewien przeciąg czasu, to przynajmniej ograniczony do minimum. W każdym razie żadnych wyścigów, ani też długich wycieczek po wyboistych drogach; co najwyżej krótkie przejażdżki po dobrych szosach i krótkie jazdy jako środek komunikacyjny. — Gimnastyki, stale uprawianej, nie należy zarzucać; zapobiega tyciu i reguluje obieg krwi. Ale przyrządów gimnastycznych lepiej unikać.

Kąpiele morskie i rzeczne nie szkodzą kobietom pływającym i obytym z zimną wodą, ale i u tych nie powinny trwać dłużej ponad pięć minut. Pozatem należy się ich raczej wystrzegać.

Ciepłe kąpiele natomiast wywierają dobroczynny wpływ na organizm kobiecy w tym okresie. Nie powinny tylko być za gorące, ani trwać za długo, ale najwyżej około 20 minut.

Kąpiele nasiadowe o temperaturze umiarkowanej działają korzystnie na obieg krwi w organach rodnych, łagodzą ewentualne bole i podrażnienia.

Kąpiele w parze, t. j. łaźnia, może być brana w rachubę tylko u tęgich kobiet i tych, które nadmiernie tyć zaczynają. Przy zawrotach i uderzeniach krwi do głowy trzeba jej unikać bezwzględnie.

Gorące kąpiele nożne są przeciwwskazane w razie skłonności do obfitych krwawień, natomiast polecane przy uderzeniach do głowy a skąpem wydzielaniu się krwi.

Hydropatja, natryski, polewania, zawijania w wilgotne prześcieradła, mogą oddać dobre usługi, o ile nie są szablonowo stosowane, lecz indywidualnie. Dla osób nieprzyzwyczajonych do zimnej wody, odpowiedniejsza będzie letnia, a przedewszystkiem tam, gdzie chodzi o reumatyzm lub newralgję.

Nacierania całego ciała mogą zastąpić zabiegi hydropatyczne zwłaszcza u osób, które je źle znoszą.

W ubraniu uwzględnić należy przedewszystkiem wygodę i wyłączyć zeń wszelki ucisk, jak np. niewygodne obuwie, ciasne opaski biodrowe, napierśniki lub podwiązki. Wszelki ucisk bowiem upośledza krążenie krwi i sprowadza kongestje.

Racjonalne pożywienie odgrywa również niemałą rolę i zapobiega rozmaitym dolegliwościom, do których organizm bywa wówczas podatny.

O ile napoje wyskokowe wogóle nie są polecenia godne, o tyle tem więcej w tym okresie wystrzegać się ich należy; tak samo mocnej herbaty i kawy. Z potraw wyróżniać trzeba rzeczy lekko strawne, białe mięsa, ryby, jarzyny, sałaty, kompoty, surowe owoce, mleko, sery. Ciemne mięsa, dziczyzna, wędliny — z wyjątkiem szynki — ostre i korzenne przyprawy są na indeksie. Mięso wogóle — najwyżej raz na dzień i to nigdy na noc. Potrawy tłuste i słodkie sprzyjają tyciu.

Pamiętać należy o rozrywkach i przyjemnościach. Gdyby kobieta odsunęła się wówczas od wszelkich radości i uśmiechów życia, odbiłoby się to fatalnie na jej nerwach. Stworzyć sobie musi sama odpowiednie warunki, znaleźć jakiś cel, jakąś pracę pochłaniającą myśli i dającą zadowolenie wewnętrzne. Musi czuć się potrzebną komuś lub czemuś, żyć pełnem życiem, a nie smętnie wegetować poza jego nawiasem.

Osławiony „niebezpieczny wiek" nie kryje żadnych niebezpieczeństw, któreby nie mogły grozić i poza okresem przejściowym. We wczesnej młodości tak samo można podlegać różnym kobiecym cierpieniom, tak samo być narażoną na utratę urody, na przypadłości nerwowe i popełniać szeleństwa. Dlaczego zatem w dojrzałym okresie życia stają się te rzeczy celem złośliwych wycieczek i drwin? Czy może dlatego, że kobiety po latach trudów fizjologicznych i walk z przeciwnościami mogą mieć prędzej zdrowie i nerwy zrujnowane, aniżeli zupełnie młode dziewczęta?

Na uspokojenie i pociechę kobiet lękających się tego okresu powiem, że gdy go higjenicznie spędzą, gdy chorobom kobiecym wczas zapobiegną, a urodę będą rozsądnie pielęgnowały, nie utracą ani zdrowia, ani wdzięków, lecz po przejściowych niepokojach rozkwitną na nowo. Nie będzie to wprawdzie: „ani młodociana Wenus, ani Diana, lecz królewska „Venus z Milo" (E. Legouvè). Jest to okres, w którym kobieta po wyzbyciu się stałych udręczeń ciała, ma większą swobodę i możność pracy nad rozwojem intelektualnym, który osiąga wówczas najwyższe szczeble. Jej zaś zrównoważone usposobienie, jej wyrozumiałość, słodycz, znajomość ludzi darzą ją urokiem nieprzemijającym, którego ani czas, ani bezmyślność ludzka zniszczyć nie potrafi.

EFEB

TOALETOWE GRZECHY POLKI

PRZYJECHAWSZY po długiej niebytności na krótki czas do kraju, pozwolę sobie Szan. Czytelniczki, podzielić się z Wami wrażeniem, jakie zrobiły na mnie rodaczki, pod względem zewnętrznego wyglądu. Oczywiście nie będę mówić o paniach, faworyzowanych przez los, które często odwiedzają Paryż, lub inne zagraniczne środowiska, gdzie żywy obraz tego co jest prawidłem mody i wytworem nowoczesnego smaku, wyrabia poczucie istotnej elegancji. Będę mówić o tej przeważającej ilości kobiet, które do tego rodzaju wycieczek nie mają sposobności i opierają się jedynie na wskazówkach swej krawcowej i na tem co im podaje żurnal.

W Polsce, a zwłaszcza we Lwowie, widzi się moc ładnych twarzyczek. Trudno mi natomiast ten komplement powtórzyć, jeśli chodzi o sylwetę, gdyż Polka robi wrażenie kobiety ciężkiej i masywnej.

Nasze panie prześladuje tusza. Jest to nietyle wynikiem wrodzonej skłonności i właściwości rasy, ile rezultatem zbyt obfitego lub niewłaściwego odżywiania się i braku kultury ciała. Nawet te kobiety jednak, które są szczupłe, lub prawie szczupłe, wywołują wręcz przeciwne wrażenie, tylko dlatego że są źle ubrane. Wszystko bowiem, co noszą nasze panie, jest za wielkie, za luźne, zbyt skomplikowane i sporządzone z ciężkich, sztywnych i nie układających się materjałów. Niektóre kobiety stanowią istny pakiet wełny lub jedwabiu. Odnoszę zawsze wrażenie, że z jednej takiej sukni możnaby zrobić dwie. Nie chcę przez to powiedzieć, że modny strój kobiecy ma być kusy i obcisły. Byłoby to herezją w pojęciu dzisiejszej mody. Musi on być jednak przystosowany do ciała, musi doń przylegać, musi stanowić jedność z jego linją a nawet ruchami. Nie można nosić sukien, które czynią wrażenie jakby były zrobione dla kogoś innego — a takie właśnie suknie, a zwłaszcza takie płaszcze noszą nasze panie. Te płaszcze, chlubiące się często wiedeńskiem pochodzeniem, defigurują najlepiej zbudowaną kobietę. Za dużo w nich fałdów, za dużo futra, za dużo ozdób, za dużo guzików — wszystkiego za dużo. Sporządzone z materjału o wyglądzie zbyt solidnym, mają one coś z klasztornego habitu, coś z żołnierskiego płaszcza, któremu usiłowano nadać piętno niedzielnej elegancji.

Cechą szyku paryskiego, bez względu na kaprysy mody, była zawsze i jest — lekkość, prostota, umiarkowanie i umiejętność wydobycia wielkich efektów niedostrzegalnemi prawie środkami. Pod tym względem „genre" paryski różni się zasadniczo od wiedeńskiego, któremu się u nas z umiłowaniem hołduje, przepłacając w magazynach tak zwanej konfekcji potworne nieraz okrycia, które trzeciorzędna krawcowa, pod dobrym kierunkiem, znacznie lepiejby uszyła.

Drugim błędem, jaki popełniają nasze panie, jest to, że źle pojmują modę i zbyt niewolniczo do niej się stosują, sądząc iż efekt polega na szczegółach, podczas kiedy wywołać go można jedynie linją i sposobem noszenia sukni. Ileż to razy znajome panie zasypują mię tego rodzaju pytaniami: Czy zakładki są modne? Czy ciągle nosi się tylko klosze? Czy rękawy powinny być luźne czy obcisłe? Czy guziczki należy przyszywać na prawo czy na lewo? — Wszystkie te rzeczy są obojętne. Jeden krawiec paryski robi zakładki, drugi nie; jeden rękawy wąskie, a drugi szerokie, jeden przyszywa guziki na prawo a drugi nie przyszywa ich wcale. Moda dzisiejsza jeśli chodzi o szczegóły jest najzupełniej eklektyczna, postulat jej stanowi jedynie ogólna linja. Ta linja w ostatnim roku została zasadniczo przeobrażoną. Cechą jej jest obecnie stan na właściwem miejscu i długa suknia na wieczór. I to wszystko. Czy ta spodnica skrojona jest tak czy owak, czy ten stan oznaczony jest paskiem, bolerem lub krojem stanika — to o niczem nie stanowi i nie może decydować czy suknia jest modna czy nie. Nasze panie również nie chcą uznać za modną tej sukni, która im służyła przez kilka miesięcy. Proszę mi wierzyć, że nawet bardzo elegancka paryżanka nosi suknię dwa i trzy lata, zwłaszcza w epoce, gdy się linja zasadniczo nie zmienia, tak jak to było w ciągu kilku ubiegłych lat. Oczywiście nie mówię o kobietach, których budżet przeznaczony na toalety ma bardzo szeroko zakreślone granice i które mogą sobie pozwolić na wszelkie fantazje i ustawiczną zmianę. Mówię o przeciętnej paryżance, liczącej się z wydatkami jak każda z nas, a będącej mimo tego wzorem szyku i elegancji. Ilość toalet, jakie ona posiada, jest bardzo skromna, ale toalety te są tak skompletowane, że znajdzie się wśród nich zawsze suknia i okrycie stosowne do okoliczności. Do tego nasze panie nie przykładają natomiast żadnej wagi. Posiadają np. w swej garderobie po kilka wizytowych sukien, a brak im wieczorowego okrycia; narzucają bez ceremonji na balową toaletę sportowy płaszcz. O, to — to jest okropne. Taki ensemble nie może mieć pretensji do elegancji, chociażby suknia była arcydziełem, a płaszcz pochodził od najlepszego paryskiego krawca. Równym dziwolągiem jest noszenie kapelusza wieczorem do sukni bez rękawów. Jest to zupełnie to samo, jakby mężczyzna włożył do smokinga żółte buty. Dobrze ubrana kobieta stosuje przedewszystkiem strój do okoliczności, a stosowanie stroju do okoliczności odbywa się drogą logiki. Wieczorowa suknia ani ze sportowym płaszczem, ani z kapeluszem nic wspólnego mieć nie może. Ta ostatnia kombinacja miała pewne nieuzasadnione powodzenie w czasach młodości naszych babek; dziś należy ona do przeżytków.

Przystąpmy do innej dziedziny. Polki są naogół doskonale uczesane, mają natomiast bardzo niewypielęgnowaną cerę. Nie zamierzam namawiać Was, Szan. Czytelniczki, do kunsztownego i przesadnego maquillage'u, który się tak rozpanoszył w ostatnich czasach na zachodzie. Między tym maquillage'em a zaniedbaniem istnieje jednak pewna droga pośrednia. Cera pozostawiona na opatrzność Boską, nie znająca kremu i pudru, usta nie ożywione odrobiną różu, robią zwłaszcza wieczorem opłakane wrażenie. Trudno mieć całe życie osiemnaście lat i trudno robić wrażenie starannie utrzymanej kobiety, ze świecącą twarzą i blademi usty.

Teraz cośniecoś o kapeluszach. Pod tym względem panuje u nas doprawdy zbyt wielka solidarność. Dlaczego wszystkie panie noszą klosze, których się w Paryżu prawie nie widuje? Czy dlatego że modystce najłatwiej sfabrykować taki kapelusz? Istnieją teraz przecież prześliczne berety, turbany, toki; rozmaitość ich dozwala dostosować kapelusz do każdej fizjonomji. Widok tych niezliczonych kloszy jest doprawdy monotonny; zresztą będzie na nie czas w pełni lata — w skwarze i w słońcu.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Elegancką może być tylko toaleta czysta i świeża; świeżą zaś nie może być suknia, którą się choćby przez parę miesięcy często nosiło, i dlatego należy ją co pewien czas chemicznie czyścić, nawet wówczas gdy nie ma żadnej plamy. We Francji i w Ameryce czyszczenie chemiczne doprowadzone jest do perfekcji. Nie wiem czy na tym samym stopniu doskonałości stoją zakłady polskie. Jeśli tak nie jest, to tego rodzaju niedomaganie jest wielkiem utrudnieniem dla starannej i dbającej o swój wygląd kobiety.

Resumé:

Mało sprawiać, dobrze sprawiać, wystudjować linję, nie gubić się w szczegółach, nie polegać na tem co mówi krawcowa, znać swój typ i kierować się własnym smakiem, unikać wszelkiej przesady, stosować toaletę do okoliczności, dbać o jej świeży i nienaganny wygląd, nie pokazywać się na ulicy w zbyt strojnej sukni, nie lubować się w tanich efektach, które, rzekomo modne, z dobrym smakiem nic wspólnego nie mają, jak np. haftowane rękawiczki, paciorkowe naszyjniki o nadzwyczajnych kolorach, dziwne ornamenty na obuwiu i t. p. — nie sporządzać strojnych toalet z lichych materjałów, patrzeć uważnie w lustro i widzieć się taką, jaką się jest istotnie, a nie taką jakąby się być chciało, unikać cukierni jak zarazy, nie gardzić sportem i wierzyć że nie ta kobieta jest elegancką która dużo wydaje, lecz ta, która umie się ubrać. RITA REY

COŚNIECOŚ DLA PANÓW

WYMIENIĘ dziś nieliczne zmiany, które moda wprowadziła do ubrań sportowych. Nieliczne — gdyż zasadnicze podstawy rozmaitych „dressów" pozostały niewzruszone.

Ubiór tenisowy, niegdyś obowiązkowo biały, wprowadził kolory, i to nietylko w okryciach w czasie przerw, ale i na kort do zwykłej gry, oraz na turnieje. Na biały komplet złożony z koszuli i spodni przychodzi deseniowy pullover, przeważnie w łagodnych barwach, jak perłowa, jasno - popielata i podobne. Ale np. szampjoni światowi pozwalają sobie na żywe kolory. Ponad wycięciem pullovera u szyi widoczny jest wyłożony kołnierz koszuli. Ponadto, przed rozpoczęciem gry, narzuca gracz granatową bluzę, w paski, jednorzędową, zapiętą na środkowy guzik.

Interesującą i praktyczną nowość przedstawia jednolity krój koszuli ze spodenkami spodniemi „tenisana" — zatem coś w rodzaju kombinezy damskiej. Pomyślane w celu zapobieżenia wysuwaniu się koszuli przy nagłych ruchach, głównie z myślą o turniejach. Równie dobre usługi odda jednak turystom, jak i innym sportowcom.

Tradycjonalny płaszcz tenisowy z białej flaneli, z szerokim paskiem, utrzymany nadal w stylu angielskim.

Przy jeździe konnej najważniejszą częścią garderoby są spodnie, ich krój idealnie dostosowany do budowy i wzorowe wykończenie.

Najpopularniejszym wśród nich fasonem są spodnie ogólnie znane pod nazwą breeches; podajemy trzy modele, na których widoczne są różnice w wykończeniu, górą w zapięciach i dołem poniżej kolan. Prawidłowy krój jest rzeczą niezmiernej wagi, gdyż, jak doświadczenie poucza, najmniejsze fałdki zdolne są wywołać bolesne otarcia ciała i uniemożliwić jazdę na czas dłuższy. Dlatego szycie spodni do jazdy konnej należy powierzać wyłącznie pierwszorzędnym specjalistom w tej gałęzi krawiectwa.

Obok breeches, mamy dwie odmiany długich spodni, różniące się krojem, jak to łatwo sprawdzić można na podanych modelach. Rys. *a* ma partję pod kolanem i wzdłuż łydki dokładnie wymodelowaną i przylegającą do ciała, a dołem wyłogi. Krój musi tak dokładnie być dostosowany do nogi, ażeby podnoszenie się spodni lub fałdowanie było absolutnie wykluczone przy jakichkolwiekbądź ruchach. Rys. *b* różni się krojem, jest bez wyłogów dołem, a zato zaopatrzony listewkami, które przytrzymują spodnie i zabezpieczają przed podnoszeniem się wgórę. — Długie spodnie są specjalnie miłe do jazdy konnej w lecie, gdyż zamiast wysokich butów pozwalają na niskie, zatem lżejsze i nie rozgrzewające nóg w tym stopniu, co wysokie. — W innych rodzajach sportów jak wioślarstwo, pływanie, turystyka — oprócz wyliczonych w ubiegłym roku uproszczeń, nie zaszły żadne ważne zmiany.

Wybór krawatów do sportowych ubrań wymaga namysłu, nie można bowiem użyć pierwszych lepszych, które nam służą do marynarki na codzień.

Rzecz jasna, odpadają modele z ciężkiego jedwabiu, a także zarzucono krawaty z tego samego materjału co koszula. Mamy więc do wyboru długie krawaty z lekkich jedwabi, lub z takich materjałów jak peking i twill, zadrukowanych w drobniutkie, wesołe wzory lub w pasy. Czasem, jak np. do pulloverów, jednokolorowe, no i fularowe barwne motylki, które dobrze wyglądają przy ubraniach z popielatej flaneli. Obowiązuje to samo przy białych lub perłowych spodniach, zatem przy ubraniach noszonych na letniskach, nad morzem, w zdrojowiskach.

Do ulubionych odcieni w bieżącym letnim sezonie, które stanowią tło krawatów, należą: pomarańczowy, ognisty i kolor kukurudzy. Lecz pamiętajmy, że w wyborze barw przymus nie istnieje, a zawsze trzeba mieć przedewszystkiem na względzie stonowanie z całością. GENTLEMAN



Ubiór tenisowy uzupełniony granatową bluzą w paski



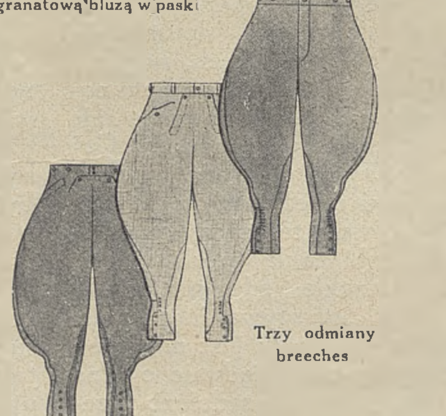
Deseniowy pullover



Rys. *a*



Rys. *b*



Trzy odmiany breeches

Modele spodni do jazdy konnej



Nowy model koszuli tenisowej krajanej ze spodenkami łącznie


1


2


3


4

PERKALOWE LATO

OTO zbliża się lato. Rozłoży wnet swe przedziwne warsztaty i krosna i zacznie tkać, haftować swoją własną chwałę.

Utka nam dzień letni jak kilim, rozmigotany opalem poranków, złotem południa i czerwienią zachodów. Rzuci nam pasiaki pól i poletek, od srebrzystości owsa aż do bronzu pszenicy dojrzałej.

W zielony perkalik łąk nasieje drobnych kwiatków i wstążki wód odzierga misternie w zawiły ornament listowia.

A nad tem wszystkiem zawiesi lekkie powietrze, niby welon haftowany w miodną smugę woni lip i jaskrawe przecinki gwizdów ptasich.

Na takiem oto, bogatem w barwy tle zjawiamy się my, kobiety z miasta. Przyjeżdżamy na wieś, aby odpocząć po naszych różnorodnych zajęciach. Zostawiłyśmy w domu małe zeszyciki, pokryte dręczącemi znaczkami wydatków domowych, ale niestety musiałyśmy zapakować niezbędną receptę powszedniego dnia — oszczędność.

W myśl tej recepty, nie stać nas na sprawienie nowych toalet na wieś. Mamy zamiar nosić nasze codzienne suknie lub, co gorsze, znosić wszystkie stare, niemodne.

Więc zjawiamy się zatartą sylwetą w naszych miejskich sukniach, które przecież wśród szarych murów kwitły — wytwornością nikłego koloru. A nasze stare niemodne ubrania wkładamy wraz z wspomnieniem wielu kłopotów i równą dozą złego humoru.

Przekolorowe tło lata chłonie nas i wydajemy się same sobie jak szare przepiórki, kryjące w prosie swój ubogi strój.

Zaś najpiękniejszy nasz strój, zwielkim trudem sprawiony powłóczysty model z wzorzystego gase-voile, krępuje nasze ruchy i nadomiar złego jest rozpaczliwy swą banalnością wśród otaczającej nas prostoty.

Marzy nam się coś prostego w linji i świeżego w kolorze. Coś, coby zakwitło wraz z nami na zielonej łące, na przeciąg jednego lata, a w jesieni nie mściło się niezapłaconą ratą.

Jednem słowem — perkalik. Zresztą może być markizeta, éponge, krepon, kreton, wszystko wyrobu krajowego i tanie. A fason — najprostszy. Taki, któryby nam pozwolił przeskoczyć rów lub płot na przechadzce, a jednak nie był brzydkim workiem.

A nawet, nawet — czyby nie dało się połączyć dobry uczynek popierania przemysłu krajowego z próbą uświadomienia wiejskich elegantek — jak wiele straciły, porzucając swój strój ludowy. Czy nie byłoby lepiej, zamiast szablonowego pomysłu z niemieckiego żurnalu, opartego na stroju tyrolki, skomponować wiejskie suknie na wzór naszych ludowych. Nie musi to być koniecznie strój krakowski lub łowicki. Te, zbyt często widziane i aż do znudzenia kopjowane, stały się niejako synonimem stroju ludowego.


5

Czy nie kusząco owijałaby się dookoła Pani smukłych nóżek fałdzista spódnica w barwne kwiaty, uzupełniona białą, marszczoną bluzką i szerokim kapeluszem z białego usztywnionego haftu.

Podobny strój noszą wieśniaczki ze Śląska Cieszyńskiego (rys. 1).

Albo suknia biała w różowe kropki a na to — jakże modny — półdługi niebieski żakiet-szarafan. To strój lublinianki, która uzupełnia go jeszcze mocno różowym gorsetem (rys. 2).

Czy nie wytworny jest strój chłopki z pod Rawicza, stanik i spódnica szkocka, biało-niebiesko - czerwona i biała marszczona bluzka z szeroko wyłożonym kołnierzem z haftu (rys. 3).

Albo zielony jak liść strój z pod Będzina, z białą kresą koszuli i żółtym słomkowym kapeluszem (rys. 4).

Czy też wreszcie strój znikąd — tylko w stylu ludowym, fałdzisty, biały, haftem kolorowym tylko i pękiem wstęg ozdobiony (rys. 5).

Tych kilka przykładów przyszło mi na myśl. A temat jest obszerny i nadaje się do indywidualnego opracowania. Wszakże Polska wielka, a lud tak bogaty w pomysły, jak ziemia w dary boże. I smutne to, że pomysły oryginalne giną, a na wsi pa-

MODELE MÓD

BLUZECZKI Z PŁÓTNA JEDWABNEGO I SPÓDNICZKI



1072 1073 1074 1075

noszy się oschły schemat podmiejskiej tandety. My jednak, kobiety z miasta, moglibyśmy wskrzesić zamierające piękno ludowego stroju. Potrzeba nam tylko trochę odwagi do wytrzymania złośliwego uśmieszku, z którym łatwo możemy się spotkać. Zginie on jednak prędko w zgodnym poszumie pola, kłosów i naszej zamaszystej spódnicy.

To, co w mieście byłoby śmiesznym anachronizmem, na wsi będzie uzasadnione. Wszakże „piękno ma tyle wyrazów ile człowiek nastrojów". JANINA OSIŃSKA



1076 1077 1078 1079

1072 Bluzeczka ozdobiona kolorową wypustką.
1073 Bluzeczka, kołnierz, mankiety i przód ozdobiony splisowaną falbanką; po bokach zakładeczki.
1074 Bluzeczka z karczkiem, przód wymereżkowany, guziki.
1075 Bluzeczka z odcinanym karczkiem; wykończona mereżkami.
Szykowne spódniczki z lekkiej wełny lub z materjałów bawełnianych.

1076 Lekka sukieneczka z kretonu w kwiaty. Krój prosty, falbana kloszowa górą przymarszczona.
1077 Sukienka z markizety. Wolant kloszowy, wycięcie u szyi i rękawy wykończone riuszką.
1078 Sukienka z półjedwabiu w pasy. Bluzeczka z przodem w skośne paseczki i podobna skośna plisa na spódniczce.
1079 „Chłopka" w kwiaty z dwu materjałów. Spódniczka marszczona.

Kupujmy wyłącznie wyroby krajowe — Wyroby krajowe są najtańsze



1080 1081 1082



1080 Suknia z króciutkiemi rękawkami. Spódniczka z baskiną, stanik zachodzący na spódniczkę i związany wtyle na kokardę.

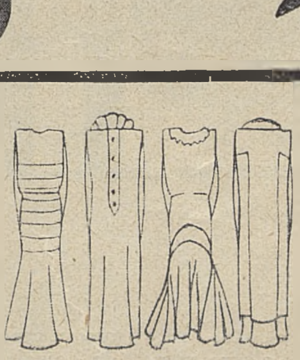
1081 Suknia z pelerynką. Obcięty stanik lekko przymarszczony do pliski, spódniczka kloszowa.

1082 Suknia w ukośnie naszyte falbany kloszowe. Szarfa na plecach związana w węzeł.

Krajowe muśliny, jedwabne markizety i żorżety

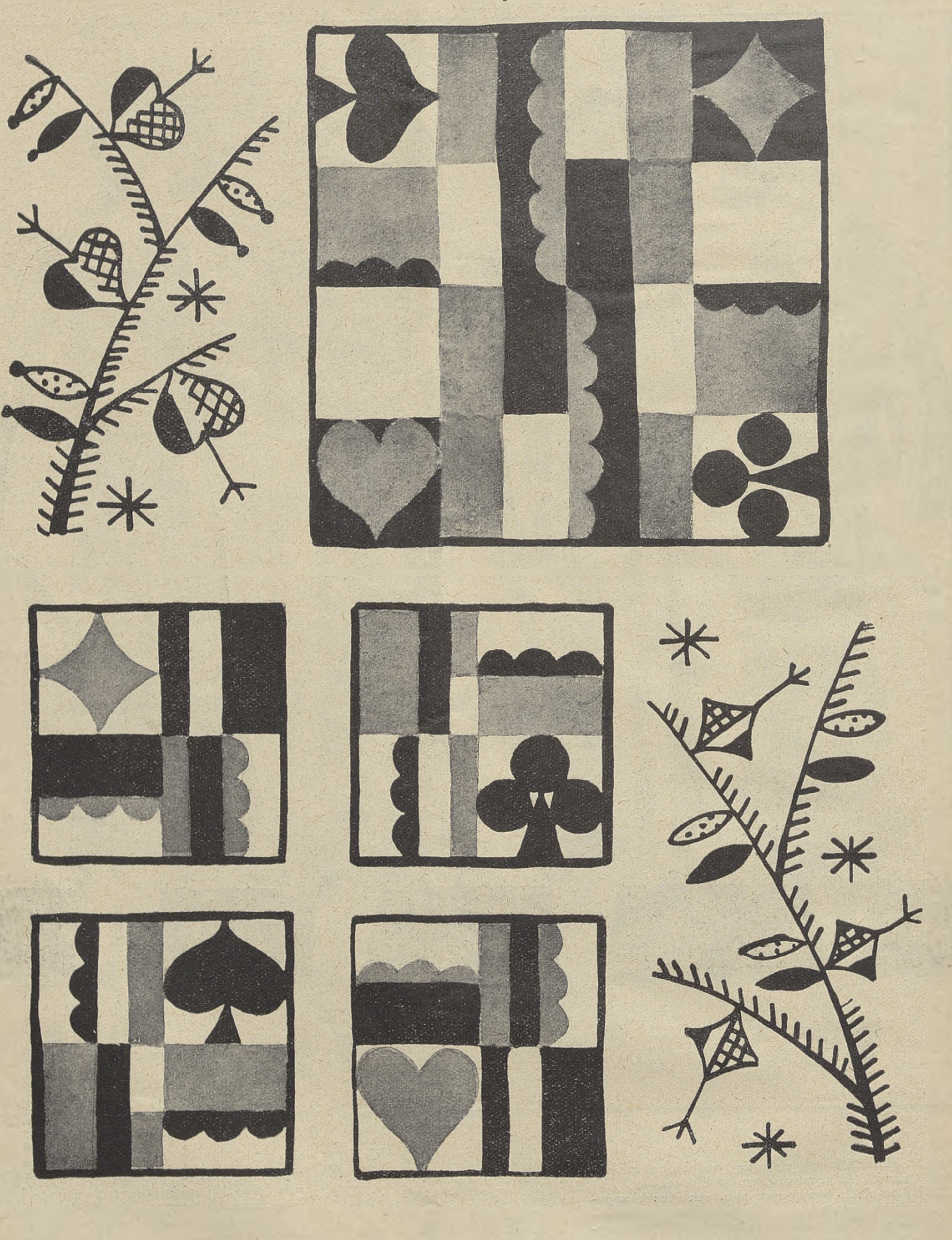


1083 1084 1085 1086



1083 Suknia z krepy chińskiej ozdobiona zakładkami krój prosty, dołem w klosze.
1084 Komplet z krepy marocain, zakładeczki w poprzek na staniku i biodrach; spódniczka kloszowa przystebnowana w zęby. Płaszcz o oryginalnych mankietach i kołnierzu.
1085 Sukienka z krepy mongol. Kołnierz i rękawy wykończone falbanką kloszową, wychodzącą z pod plisy. Na spódniczkę wychodzą z pod plisy duże części kloszowe, zachodzące na siebie.
1086 Komplet z jedwabiu lub wełny. Kołnierz stojący, wykończony stebnem. Krój płaszcza raczej prosty, niż kloszowy. Suknia w lekki klosz odcinany.

Największy wybór w materjałach krajowych

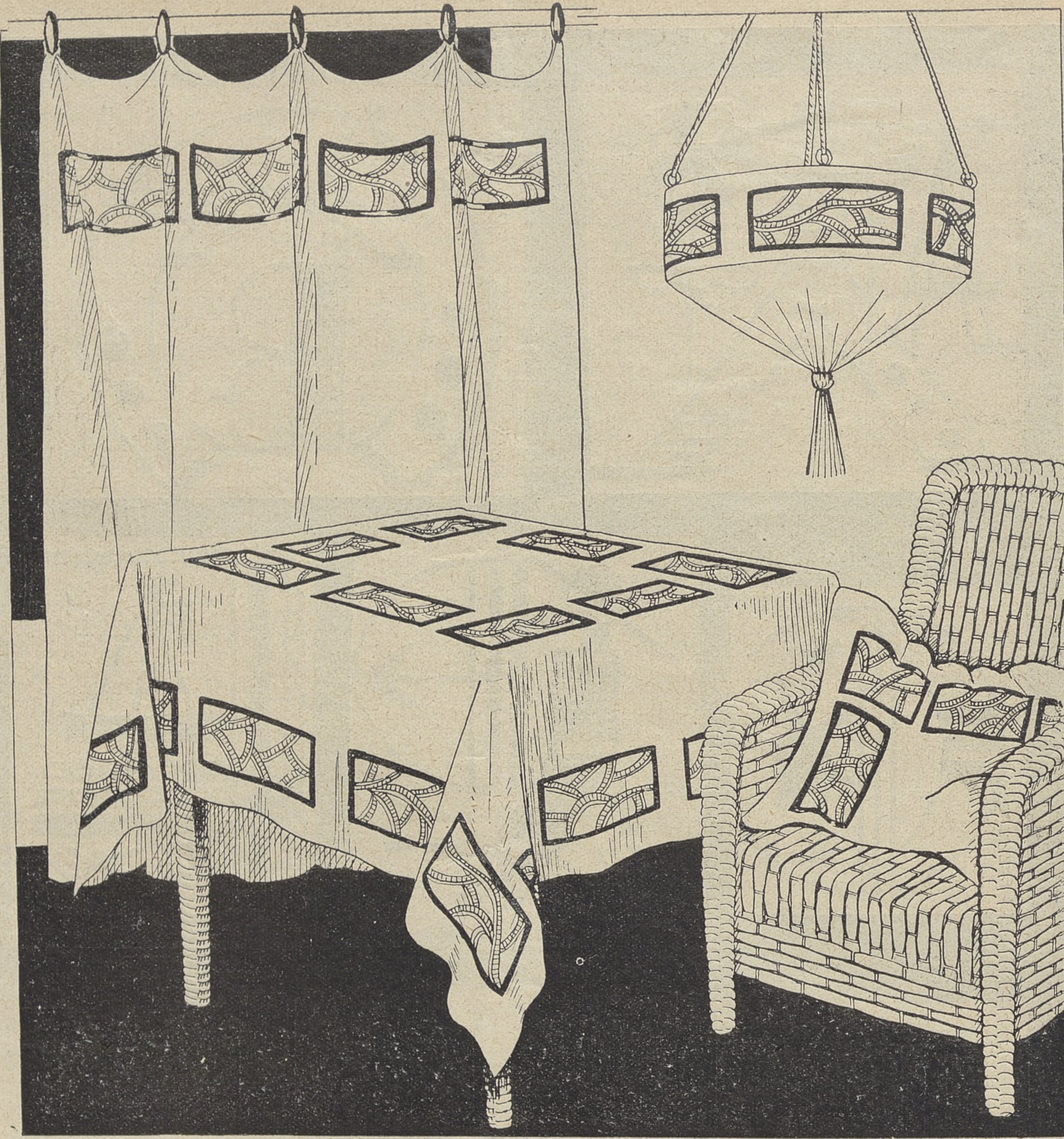


Rys. 308. — GARNITUR BRYDŻOWY. Serweta na stół i serwetki haftowane łyczkiem na kanwie lub na jucie. Kolory: czerwony, czarny, biały. — Dwa motywy wykonane płaskim haftem do dowolnego użytku.

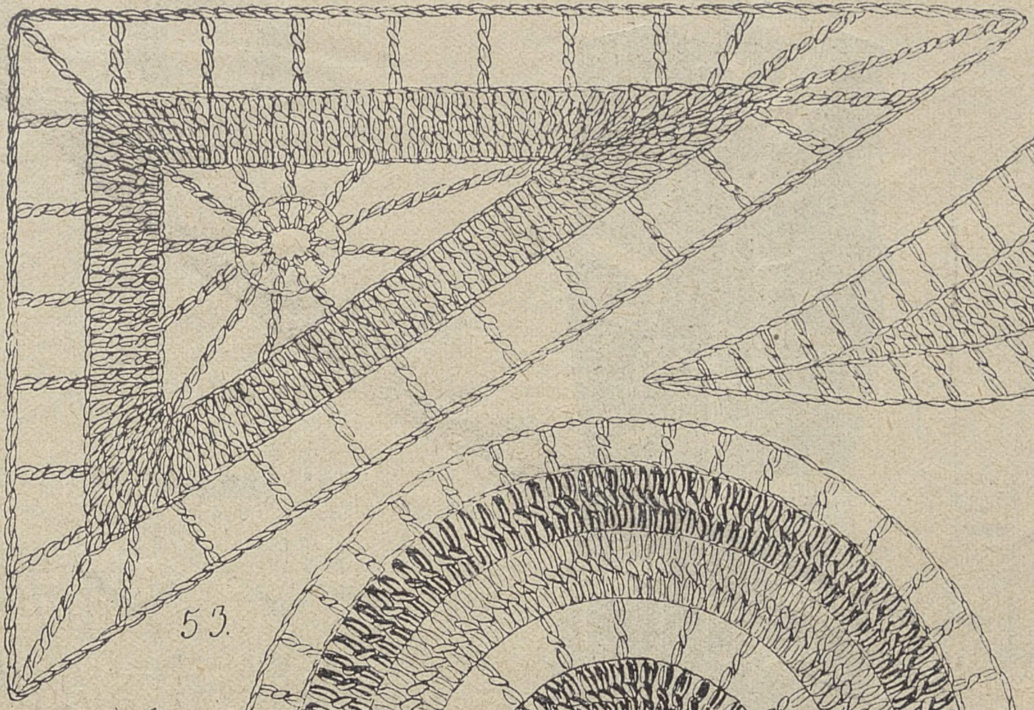
Proj. J. W.

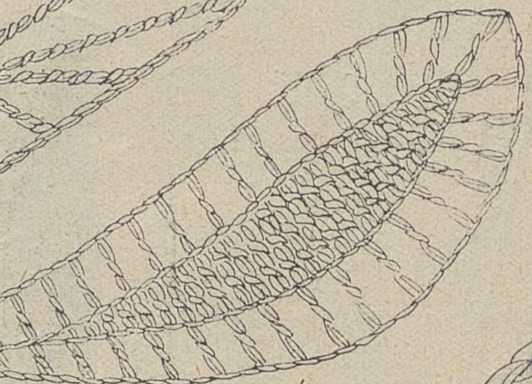


Rys. 309. — MODNE MONOGRAMY wykonane haftem płaskim lub aplikacją. Litery od A—G, skomponowane jako maskoty, można umieścić na bluzce, na torebce, na kostjumie kąpielowym i t. d. Do haftu używać należy kolorów kontrastowych. Proj. Ida Hölzlowa



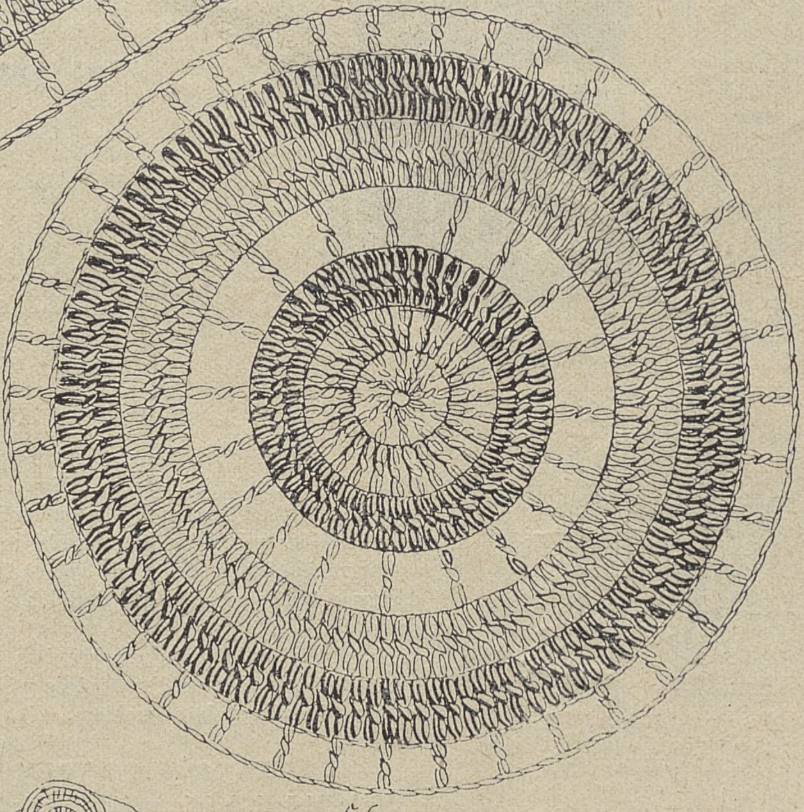
Rys. 310. — GARNITUR NA WERANDĘ. — Serweta na stół, zasłona, poduszka i ampla ozdobione motywami łatwego haftu, wykonanego ściegiem płaskim i sznureczkowym, albo łańcuszkowym. Gałązki wykonać zieloną bawełną, cienkie kreski wzdłuż gałązek jasno-żółtą, ramki czarną albo bronzową. Materjał serwety i poduszki: szare płótno — zasłony i ampli również płótno, albo opal. Dostarczamy wzorów motywów w 3 wielkościach i tyluż odmianach. Proj. Z. K.

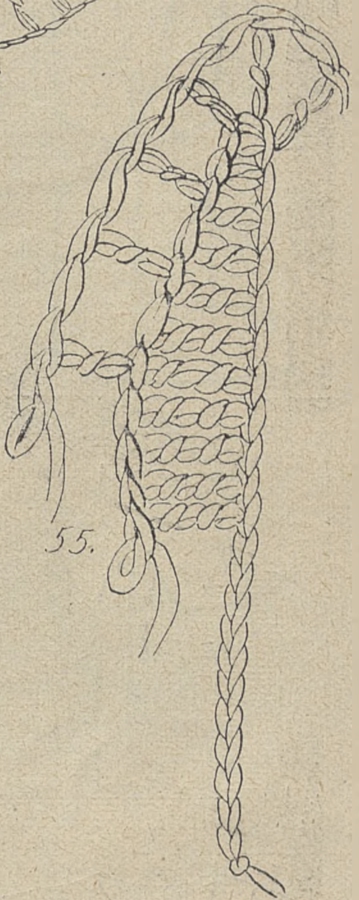

53.

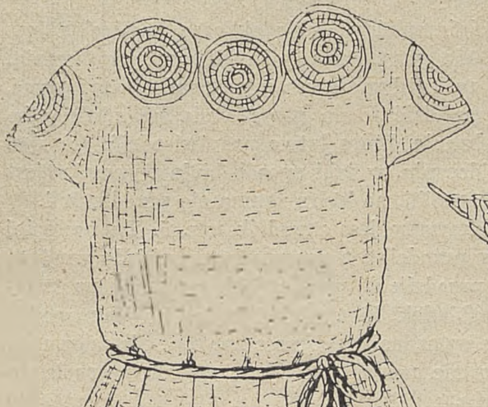

54

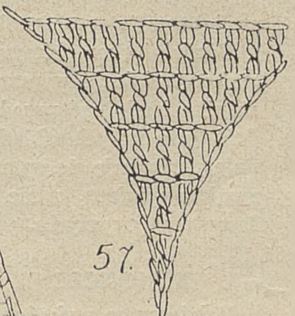

a


b


56


55.



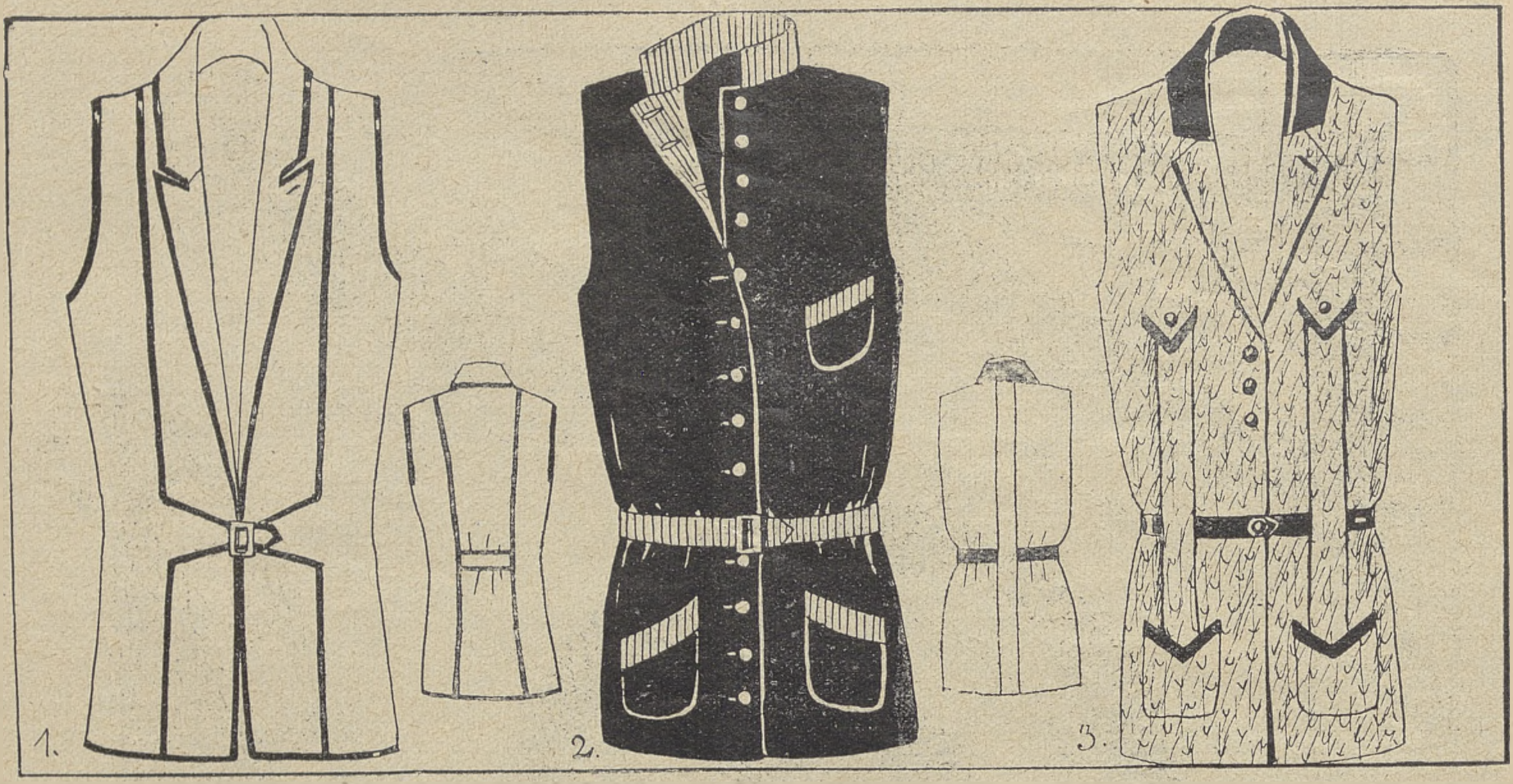

57.

MOTYWY SZYDEŁKOWE NA SZALE, CHUSTKI I ODZIEŻ

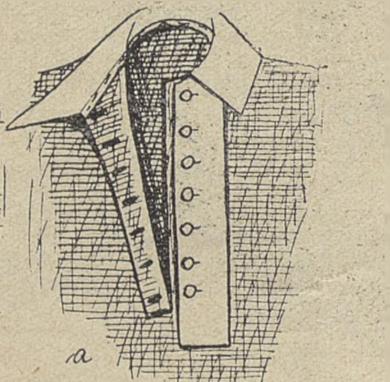
Podajemy kilka łatwych motywów, których zastosowanie i łączenie wskażemy w następnych częściach kursu. Powstają one przez połączenie oczek w powietrzu i słupków raz albo wielokrotnie nawijanych. Reprodukcja motywów jest tak wyraźna, że można je bez trudu odrobić. Rys. 53 a pokazuje jak rozpocząć motyw, a 53 b pokazuje wykonanie słupków 6 razy nawijanych, tworzących narożniki trójkąta. Łączenie i dalsze wykonanie liścia pokazuje rys. 53. Zastosowanie koła na sukience uwidoczniono u dołu, obok wskazuje rys. 53, jak łączyć i wypełnić luki między kołami.

Dobór kolorów zależy od upodobania i od zastosowania motywów. Dla dzieci używamy kolorów wesołych i żywych, na szale i chustki zaś pastelowych i sharmonizowanych.

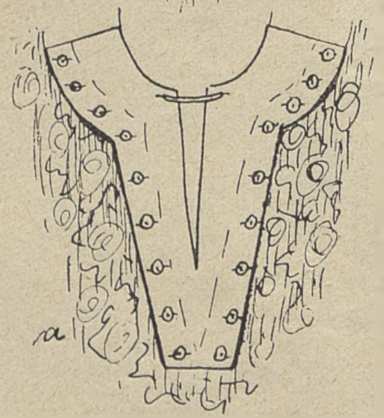
Z. KULCZYCKA

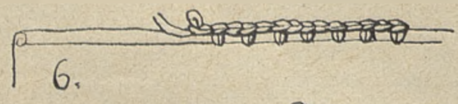


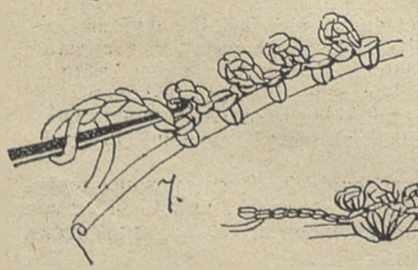


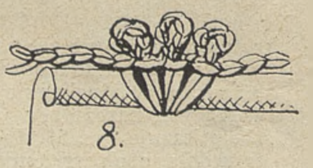














MODNE KAMIZELKI

Mimo dużego powodzenia kostjumów, kamizelki nie straciły prawa bytu ani zwolenniczek. Używamy ich szczególnie chętnie do sportu i szyjemy z rękawami do sukienek bez rękawów, zaś bez rękawów do noszenia pod płaszcze i żakiety.

Forma angielska cieszy się szczególnem powodzeniem i widzimy ją tak w materjałach gładkich, jak w aksamitach i tweedach.

Najodpowiedniejszem przybraniem są lamowania. Haftów nie widuje się obecnie. Przeważnie widzi się kamizelki przylegające albo ściągnięte paskiem.

KILKA SŁÓW O BIAŁEM PRZYBRANIU

Moda białych kołnierzyków i wkładek oraz kamizelek jest bardzo wdzięczna, ale przysparza dużo kłopotu przy praniu. Trzeba je bowiem za każdym razem wypruwać i przyszywać. Dlatego radzimy urządzić je do przypinania od spodu albo wybrać takie przybranie, które łatwo przytwierdzić, jak rys. 4. — Rys. 4 a uwidocznia, w jaki sposób biała wypustka jest zapięta na te same guziki, na które zapina się przód sukni.

Bardziej skomplikowany jest przodzik rys. 5. Tu najlepiej wykonać dziurki w przodziku a przyszyć guziczki do wnętrza stanika i odpinać przodzik do prania. Tak samo można urządzić dużo innych wkładek, kamizelek i wyłogów. Ten sposób daje gwarancję, że wyprane przybranie znajdzie się znowu na swojem miejscu, a nie narazi nas na wielokrotne prucie po krzywem przyszyciu.

WYKOŃCZENIE KOŁNIERZYKÓW I WYŁOGOW

Wdzięcznem wykończeniem jest obszydełkowanie jedwabiem w kolorze sukni. Brzeg materjału może pozostać otwarty albo zwinięty w wąziutki rulonik, rys. 6. Dla zabezpieczenia brzegu wystarczy obszydełkowanie ścisłemi oczkami; przedzielonemi oczkami w powietrzu, rys. 6. Bardziej ozdobne są pikociki z 4 oczek w powietrzu, między ścisłemi oczkami wbitemi w brzeg materji, rys. 7. Bardzo sympatycznie wyglądają ząbeczki, rys. 8 i 8 a. Tworzą się one przez grupy 4 ścisłych oczek przedzielonych trzema pikocikami i połączonych łańcuszkiem z 6—10 oczek w powietrzu.

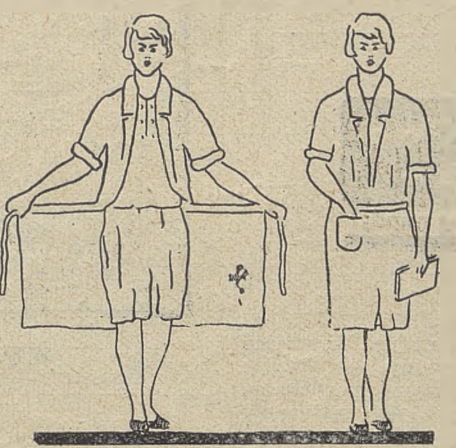
Z. KULCZYCKA

UBIÓR DOMOWY*

ZAGADNIENIE gospodarstwa domowego, jako pracy ciężkiej, bezpośrednio nas dotyczącej, jest jeszcze odsuwane i jakby omijane. Niestety, w bliskiej już przyszłości panie domu będą musiały spełniać te prace same, bez niczyjej pomocy. Jeżeli nie my bowiem, to następne pokolenia będą do tego zmuszone przez warunki mieszkaniowe, brak służby lub niemożność jej opłacania.

Zawczasu już musimy myśleć o tem, by szukać ułatwień i dróg do wszechstronnego zorganizowania naszych gospodarstw. Jednem z ważniejszych ułatwień przy spełnianiu prac codziennych w domu jest odpowiednie ubranie.

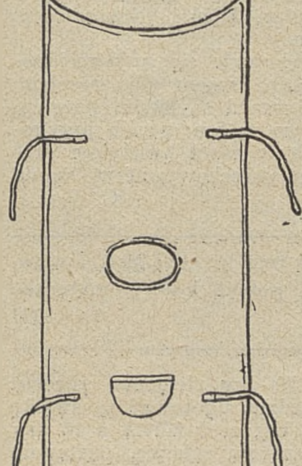
Nie zapominajmy, że tydzień dla przeciętnego pracownika składa się z sześciu dni roboczych i jednego dnia odpoczynku, zaś tydzień pani domu z siedmiu dni roboczych, gdyż życia rodziny ani na godzinę zatrzymać nie można. Pani domu średnio zamożnej rodziny może ubrać się odświętnie, gdy ma do tego okazję; powinna ubrać się schludnie, po domowemu, codziennie po skończonej pracy; zaś ubrać się do pracy *musi* dzień w dzień.



Rys. 1

Zwracam się myślą do Stanów Zjednoczonych, gdzie przeszło 90% kobiet, pań domu, poza pracującemi zawodowo, spełnia wszystkie czynności związane z gospodarstwem domowem i gdzie strój domowy jest artykułem mody, któremu poświęca się bardzo dużo uwagi.

Na czas spędzany przy gospodarstwie Amerykanka tak się ubiera. Na głowie *czepek*, aby nie targać i nie brudzić włosów przy sprzątaniu ani ich nie prószyć w jedzenie przy gotowaniu. *Suknia—fartuch* z barwnych ładnych materjałów, nazwana tak, bo zastępuje i łączy te dwa ubiory, Owa suknia nie jest zbyt długa, ma rękawy powyżej łokcia oraz kieszenie, a bywa ściągana paskiem zapinanym lub wiązanym. Na czas zmywania i prania jednym ruchem narzuca na siebie gumowy fartuch z krzyżującemi się na plecach tasiemkami, zaś do specjalnie brudnych robót jak zamiatanie piwnicy lub strychu (podwórze i chodnik przed domem czyści mąż) nakłada suknię z grubych ciemniejszych materjałów. Bieliznę jej bez żadnych ściągających i krępujących ruchy pasków tworzy najczęściej „kombinacja"; nawet gorset jest połączony ze staniczkiem na gors, niezasznurowany lecz zapinany z boku na sprężynowe haftki, zrobiony z bardzo miękkich i łatwych do prania materjałów, z długiemi podwiązkami. Ubiór domowy dopełniają wygodne *pantofle na niskich obcasach i miękkich podeszwach*. Do robót bardzo brudzących na ręce nakłada *rękawice* obszerne z bawełnianej surówki.



Rys. 2

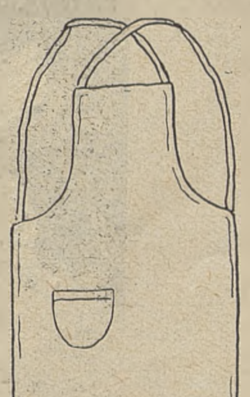
Domową suknię Amerykanka wkłada nietylko dlatego, że jest koniecznym strojem do pracy, ale i dlatego, że czuje się w niej dobrze, swobodnie, lekko i że ją lubi. Trzeba widzieć tłumy Amerykanek, od najstarszych do młodziutkich, śpieszących na wyprzedaże tych sukien, ogłaszane od czasu do czasu przez wielkie magazyny. Mierzyć nie trzeba, gdyż każda kobieta zna swoją miarę (objętość w biuście) i podług niej kupuje suknie i bieliznę. Najbardziej oszczędne szyją sobie same takie suknie; w tym celu te same wielkie magazyny mają moc materjałów tanich oraz form bibułkowych; a także wydają bezpłatnie co miesiąc zeszyty mód, w których suknie domowe mają poczesne miejsce. Moda nie jest tak zmienna na tego rodzaju stroje, to też Amerykanka posiada tych sukien kilka, pierze je i prasuje sama, a nosi je codzień od rana do zmycia naczyń po obiedzie, w której to czynności pomagają jej domownicy, obecni już w domu o tej porze dnia.

Twierdzę z całą pewnością, że jedną z najważniejszych przyczyn, dlaczego Amerykanki tak sprawnie i zręcznie krzątają się po domu, jest ich wygodny ubiór. Wszak praca w domu jest do pewnego stopnia pracą fizyczną i jak do g i m n a s t y k i n a l e ż y m i e ć kostjum przepisowy, niekrępujący ruchów i pracy mięśni, gdyż inaczej cały pożytek z ćwiczeń obróciłby się na szkodę, tak samo w domu należy się ubierać zdrowo i praktycznie. Nowoczesne metody pracy stawiają nowe wymagania jej wykonawcom, którzy muszą być nietylko teoretycznie przygotowani, ale i tak usprawnieni fizycznie, aby zwiększyć wydajność pracy, a siły, czas i zdrowie możliwie oszczędzić. Młode gospodynie, te, które poważnie myślą o naukowej organizacji gospodarstwa domowego, o unowocześnieniu kuchen, muszą pomyśleć również o takim ubiorze domowym, który będzie w tej pracy ułatwieniem a nie przeszkodą.

A teraz pomyślmy co u nas dałoby się zrobić w tej sprawie. Nie od rzeczy może będzie wspomnieć o wykroczeniach, które popełniamy w stosunku do samych siebie, używając do pracy ze względów źle zrozumianej oszczędności niewłaściwego, niewygodnego ubioru. Sądzę, że zgodzą się panie ze mną, iż dla żadnych względów do prac domowych jak sprzątanie, gotowanie, przesadzanie kwiatów i innych cięższych zajęć nie należy donaszać sukien wizytowych wełnianych lub jedwabnych, z długiemi rękawami lub fantazyjnych z dekoltami, koronkami, kokardami i t. p., dalej, że nie wolno pod żadnym pozorem nosić gorsetów, ściskających piersi i biodra, ciasnych staniczków, takichże pasków, podwiązek okrągłych, ściskających nogi, ani też obuwia na wysokich obcasach, w dodatku „wykoślawionego".

Nie możemy tak ubrane zabierać się do zajęć domowych, g d y ż w t e d y k a ż d a b ł a h a c z y n n o ś ć, podniesienie rąk lub schylenie się będzie przykrością i wysiłkiem oraz zostanie wykonane niezręcznie, niechętnie i z niebezpieczeństwem dla garderoby; w dodatku spełnianie codzienne czynności w tych samych niekorzystnych warunkach musi spowodować pewne schorzenia i ogólne wyczerpanie, co odbija się fatalnie na humorze i ogólnem samopoczuciu.

Nośmy więc do gospodarstwa ubiór, odpowiadający wymaganiom i warunkom pracy domowej: winien on składać się z *sukni*, latem płóciennej, zimą flanelowej, ł a t w e j do prania, dość krótkiej, z kieszeniami, z rękawami krótkiemi lub odwijanemi powyżej łokcia i przypinanemi na ramieniu. Tylko przy bardzo brudzącej robocie nakładamy na suknię *fartuszek*, który winien być długi i możliwie zasłaniać całą suknię. Zamiast gorsetu stosujmy pasek luźny z długiemi podwiązkami; na głowie nośmy *czepek*, *chustkę* lub *siatkę*, a na nogach *pantofle z niskiemi obcasami*. Wszystkie te szczegóły ubioru można z łatwością dostać w sklepach; już nawet zaczęto robić u nas gorsety połączone ze stanikami na wzór amerykańskich, a jedna z największych firm warszawskich sprzedaje gotowe suknie domowe w cenie zł 15. Kwestją przyszłości i naszych wymagań będzie, aby te artykuły i u nas znalazły odpowiednie zrozumienie, a wtedy i przez ogół naszych wytwórców i sprzedawców zaczną być poważnie traktowane.



Rys. 3

Dla pań domu, które w sukni odświętnej muszą nieraz wejść do kuchni lub wykonać jakąś czynność, a chcą uniknąć zabrudzenia lub zniszczenia sukni, nieocenione są fartuszki wszelkich fasonów.

Rys. 1 przedstawia bardzo praktycznie obmyślony fartuch, który krojem przypomina szlafrok; daje się narzucić szybko i związać ztyłu, a wykonany być może z kolorowych ładnych materjałów. Dwie poły na przodzie dają możność zakładania np. lewej poły na prawą lub odwrotnie, gdy jedna poła jest już poplamiona, a fartuch cały natyle czysty, że jeszcze prania nie wymaga. Te dwie poły chronią również suknię przed zamoczeniem bardziej skutecznie niż zwykły fartuch.

Rys. 2 przedstawia łatwy do skrojenia i uszycia fartuch większy, nakładany przez głowę i wiązany z boków. Kraje się go z całej szerokości materjału 80 cm; jest luźny i wygodny, a przytem zasłania całą suknię.

Na rys. 3 podałam fartuch ceratowy, uszyty w domu. Wokoło jest oblamowany tasiemką, szelki również z tasiemkami, krzyżują się na plecach. Bardzo potrzebny i wygodny przy robotach, kiedy trzeba chronić suknię przed zmoczeniem, a więc przy praniu, zmywaniu, spryskiwaniu kwiatów. Wymiary posiada następujące: długość 84 cm, szerokość 57 cm, długość każdej szelki 70 cm.

Ubrane odpowiednio i praktycznie, możemy śmiało wszelkie prace domowe wykonywać; wtedy gospodarstwo domowe — zamiast nas męczyć i odstraszać — stanie się normalną pracą zawodową, którą im szybciej i zręczniej wykonamy, tem da nam ona więcej zadowolenia i pozwoli zaoszczędzić więcej czasu na pracę umysłową lub rozrywki.

* Przedruk z czasopisma: *Organizacja Gospodarstwa Domowego*, nr 2 z 15 lutego 1930 roku.

A przytem pamiętajmy i o stronie estetycznej, której uwzględnienie jest konieczne dla otoczenia naszego i dla nas samych, bo daje pewność siebie i swobodę ruchów oraz wytwarza pogodny nastrój. *Ubiór do pracy powinien być nietylko praktyczny, ale ładny i czysty, zręcznie uszyty i starannie włożony.* IZA MANDUKOWA

DOBRA GOSPODYNI

popiera wyroby krajowe

MEBLE KOSZYKOWE. Wspominaliśmy już na tem miejscu o różnych sposobach czyszczenia tych mebli. Przypominamy, że nie należy do tego celu używać sody, gdyż wtedy wszystkie rodzaje trzciny żółkną. Najlepiej zwilżyć bardzo brudne miejsca terpentyną, a następnie zmyć odwarem korzenia mydlanego.
Meble koszykowe miłe dla oka i wygodne, mają tę stronę ujemną, że łatwo na nich u s z k o d z i ć g a r d e r o b ę. Wystające gwoździki można zabić, ale ostre koniuszki trzciny, tu i ówdzie wystające, trudno unieszkodliwić. Można to uczynić, powlekając meble lakierem bezbarwnym albo zabarwionym, jeśli naturalny kolor mebli już ucierpiał. Jeszcze pewniejszą ochroną są obicia z kretonu, umieszczone na siedzeniu i oparciu. W ten sposób delikatna tkanina sukien nie będzie narażona na niebezpieczeństwo. Trzeba jednak zawsze jeszcze uważać, żeby nie przytulić nóg do nóg fotela, gdyż spuszczone oczko jest często karą za takie bliskie zetknięcie się. Tu tylko polakierowanie nóg mebli daje ochronę albo — ostrożne zachowanie dystansu, do czego jednak trudno przyzwyczaić dzieci.

PRZECHOWANIE ŻYWNOŚCI W PORZE LETNIEJ. Na wsi sprawa ta jest zupełnie prosta, gdyż zazwyczaj rozporządza się przewiewną spiżarnią i piwnicą. Inaczej w dużych miastach, gdzie spiżarnia zwykle mieści się obok ciepłej kuchni i nie posiada okna na dwór, tylko do komina i t. p. Niekażdy zaś posiada dość obszerną lodownię, w której dałyby się przechowywać wszystkie zapasy.

Psucie się żywności powodują bakterje, które dla swego rozwoju potrzebują ciepła, wilgoci a często i światła. Dlatego powinno się żywność przechowywać w chłodzie i ciemności i możliwie sucho. Niektóre produkty natomiast utrzymuje się w świeżości przez zastosowanie wilgoci albo przez wyzyskanie faktu, że przez parowanie ciała tracą ciepło.

M i ę s o obok ryb ulega najprędzej zepsuciu. Przechowuje się je najlepiej w lodowni, niemyte i owinięte w suche płótno. Nigdy nie powinno się mięsa przechowywać w papierze. Także nie powinno się go kłaść bezpośrednio na lód, gdyż traci sok i zmienia barwę. W braku lodowni można większe ilości mięsa powiesić owinięte w suche płótno, w przewiewnem miejscu. Pokrzywa chroni przed psuciem się. Owinięto nią mięso włożone do kamiennego garnka i ustawione w piwnicy albo w piecu, w którym się nie pali, pozostanie przez kilka dni świeże.
Ciemne mięso jest trwalsze jak białe. Marynowanie chroni także przed zepsuciem. Suchy sposób polega na tem, że mięso niemyte naciera się miałką solą zmieszaną z tłuczonemi korzeniami i jałowcem i zawija w suche płótno. Tak przygotowane pozostawia się w chłodzie. Przed użyciem należy je umyć.
Jeśli wkłada się mięso do marynaty z octem, należy je często w niej obracać, płyn zaś odlewać co drugi dzień i po zagotowaniu i ostudzeniu znowu nalać na mięso.
Upieczone lub gotowane mięso przechowuje się w porcelanowych albo kamiennych naczyniach, zalane sosem albo rosołem. Warstwa tłuszczu na wierzchu chroni przed szybkiem psuciem się. Oczywiście trzeba przechować mięso w ten sposób przygotowane w chłodnem miejscu. — Posolony rosół kwaśnieje prędzej jak niesolony. Dlatego należy go przechowywać w stanie niesolonym. C. d. n.

PIANKA Z AGRESTU. Oczyścić 50 dkg zielonego agrestu i zalać wrzącą wodą. Po godzinie odcedzić, ugotować ze świeżą wodą i przetrzeć przez włosienne sito. Utrzeć 5 żółtek z 12 dkg cukru, dodać skórki cytrynowej i przetartą miazgę, następnie 2 dkg żelatyny rozpuszczonej w letniej wodzie. Ubijać masę aż zacznie stygnąć, następnie dodać pianę z 5 białek i ubijać razem jeszcze przez chwilę. Wyłożyć pianę do formy i zastudzić. Przed podaniem wyrzucić i przybrać biszkopcikami albo makaronikami.
TORCIKI Z OWOCAMI. Bardzo mile widziane są torciki nadziane świeżemi owocami z bitą śmietaną albo z pianką. Na ten cel należy zamiesić kruche ciasto z 12 dkg mąki, 5 dkg masła, 3 dkg tartych migdałów, 1 jaja, 4 dkg cukru i odrobiny skórki cytrynowej. Cienko wytaczanem ciastem wyłożyć małe foremki gładkie albo karbowane, wyciąć brzegi ozdobnie i upiec nie za ciemno. Świeże poziomki wymieszać z miałkim cukrem i bitą śmietaną albo pianą z białek ubitą z cukrem i nadziać niemi torciki. Zamiast poziomek można dać ugotowany i osączony agrest z pianą albo świeże wiśnie pokrajane drobno i wymieszane z pianą lub też śmietaną ocukrzoną. Każdy inny owoc nadaje się do nadziania, niektóre w stanie surowym, inne ugotowane i osączone. Pianę albo śmietanę należy ubić bezpośrednio przed podaniem. Foremki z ciasta można upiec na zapas.

TOWAROZNAWSTWO

R z o d k i e w k a. Świeże i młode rzodkiewki są jędrne i pełne w dotknięciu. Bardzo smaczne są różowe o białym koniuszku. Czerwone i białe okrągłe oraz białe długie są również bardzo dobre, gdy są młode. Starsze stają się drzewiaste albo gąbczaste, co poznać w dotknięciu albo przekroju. Odmiana żółta jest trochę późniejsza; w smaku nie ustępuje poprzednim. W czasie posuchy trzeba szczególnie ostrożnie kupować rzodkiewki, gdyż wtedy często są drzewiaste i popękane. Z chwilą, kiedy zaczynają pędzić w kwiat, są niezdatne do spożycia.

R z o d k i e w, często mylnie nazywana rzepą, do której jest zbliżona w wyglądzie, jest jarzyną późniejszą. Hodujemy rzodkiew białą, szarą, żółtą i czarną; ta ostatnia daje się przechować przez zimę i dojrzewa dopiero w jesieni.

Rzodkiew jest dobra, jeśli środkowe listki są krótkie i usadzone blisko rzepki.

S z p i n a k. Odmiany o ciemno-zielonych listkach są często gorzkie. Smaczniejsze są małe listki jasno-zielone. Pożółkłe, nadgniłe i nadjedzone przez owady są niezdatne. Z chwilą, kiedy szpinak zaczyna kwitnąć, staje się gorzki i niesmaczny.

Listki l e b j o d y ogrodowej gotuje się jak szpinak, który zastępują z powodzeniem. Mniej smaczna ale również niezła jest lebjoda polna.

Młode listki buraków ćwikłowych dostarczają również dobrej namiastki szpinaku.

B o ć w i n a jest to roślina z rodziny buraków, której liście przyrządza się jak szpinak. Najsmaczniejsza jest odmiana żółtawo-zielona albo biaława.

S z p a r a g i są to pędy podziemne rośliny tej samej nazwy. Wycina się je w godzinach rannych o świcie, nim główki wydostaną się ponad ziemię i nabiorą zabarwienia. Najlepsze szparagi mają mniejwięcej grubość palca, są jędrne i łamliwe ale niegiętkie. Powierzchnia pomarszczona albo żółtawa świadczy o nieświeżości. Główki powinny być białe, lekko fjoletowe, żółtawe albo jasno-zielone, nigdy zaś sine ani mocno zielone. Listeczki mają być ledwie zaznaczone; jeśli są już bardziej wydatne, szparagi są za stare, a zatem gorzkie. Smak młodych i świeżych szparagów jest słodki.

K a l a f j o r należy do jarzyn najbardziej cenionych z powodu swego smaku i estetycznego wyglądu. Należy do roślin kapustowatych, ale kwitnie w pierwszym roku. Kwiatostan spożywa się, póki jest zwarty i śnieżno-biały. Gdy kwiaty zaczynają się rozgałęziać i gdy tracą swą biel, kalafior jest za stary do zbioru i nabiera ostrego smaku zamiast łagodnego i słodkawego. Wadą są także czarne i bronzowe plamki, pochodzące bądźto od ślimaków i gąsienic, bądźto od grzybków. W zimie i na wiosnę dostajemy kalafjory z krajów południowych, w lecie zaś pędzone w cieplarni. Dopiero w jesieni pojawiają się kalafiory gruntowe i wtedy też są najtańsze.

K a r o t k i, jest to wczesna odmiana marchwi o krótkim a grubym walcowatym korzeniu i szczególnie delikatnym smaku. Bardzo młode karotki są jasne, żółtawe, trochę starsze przybierają barwę ceglastą.

G r o s z e k z i e l o n y, t. zw. cukrowy, sprzedaje się w strączkach albo też łuskany. Zbyt młody groszek ma grubą skórkę, zbyt dojrzały znowuż jest twardszy i mniej smaczny. Gdy groszek nabiera zabarwienia żółtawego albo szarego, jest już przed dojrzeniem, a więc nie nadaje się do podania z marchewką. — Najlepszy jest groszek średniej wielkości, gdy strączki mają długość małego palca.

K a l a r e p a, roślina z rodziny kapustowatych, dostarcza smacznej jarzyny w postaci okrągłego zgrubienia łodygi tuż nad ziemią oraz naci o twardych i mięsistych liściach. Odmiana fjoletowa jest smaczniejsza od białej. U nas jada się zazwyczaj tylko owo zgrubienie, za granicą zaś jada się również nać drobno posiekaną po odrzuceniu starszych liści i łodyg i ugotowaną podobnie jak szpinak, wraz z drobno pokrajaną częścią białą. Starsza kalarepa jest zdrewniała i ostra w smaku. Popękana i skarłowaciała jest zazwyczaj twarda i niesmaczna.

B ó b jest najsmaczniejszy, gdy jest jeszcze zielonkawo-biały i niezupełnie dojrzały. Można go wtedy gotować jak fasolę albo prażyć na tłuszczu. Jest jednakowoż ciężko strawny z powodu grubej skórki, którą niektórzy odrzucają przy jedzeniu. Gdy bób zaczyna żółknieć albo czernieć w miejscu, w którem jest złączony ze strączkiem, staje się twardy i nie nadaje się do użycia.

M a r c h e w bywa ceglasto-czerwona albo żółtawa. Ta ostatnia jest mniej smaczna, podobnie jak duża czerwona marchew, która w przekroju ma jasno-żółte słoje, a smak ostry, nieprzyjemny. Wogóle smaczniejsze są mniejsze gatunki, gdyż mają delikatniejszy miąższ. Marchew z gleby świeżo i silnie nawożonej ma ostry smak i łatwo się psuje.

K i e ł c z y l i k a p u s t a w ł o s k a, wcześniejsza od kapusty zwykłej, ma fryzowane listki luźno zwinięte w główki. Bardzo zielone liście są gorzkawe, zaś najsmaczniejsze żółte środkowe.

O g ó r e k należy do rodziny dyniowatych i jak dynie po dojrzeniu jest żółty. Drobne odmiany małe i niedorozwinięte, sprzedaje się jako korniszony, zaś długie a cienkie jako „wężowe",

które są szczególnie dobre na sałatę. Krótkich a grubych używa się do kiszenia, w stanie mniej lub więcej rozwiniętym. Ogórki żółtawe są często gorzkie, to też nie bierze się ich na sałatę, podobnie jak krótkich grubych, które zawierają za dużo miękiszu i pestek. Ogórki powinny być twarde i jędrne. Miękkie zawierają dużo soku, zaś zwiędłe o pomarszczonej skórze mają miąższ gąbczasty.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

IRENA W. — 1. Na pełnię lata najmodniejsze są kapelusze z dużemi przezroczystemi kresami, opasane wstążką lub przybrane kwiatem. Pięknie wygląda główka marszczona w bufki, a kresa wykończona koronką; kresa, oczywiście, ułożona na drutach. — 2. Długie suknie wyłącznie na wieczór; nie nosi się ich na ulicy.

MARJA JAWORSKA. — Kryształy i szkło jest obecnie wogóle w modzie, możemy więc wynieść na światło dzienne różne niedoceniane skarby prababek, trzymane dotychczas w ukryciu. Szkła czeskie, kopenhaskie, włoskie — w barwnych ciemnych i jasnych kolorach, zdobią stoły, toaletki, biurka jako flakony i żardynjery.

X. — Nadesłane nam pytania z zakresu objawów chorobowych nie mogą być tematem odpowiedzi redakcyjnych. Są to poważne cierpienia wymagające diagnozy specjalisty.

EMILJA S. — Zechce Pani wyszczególnić rzeczy, które pragnęłaby widzieć w najbliższej przyszłości w „Kąciku praktycznym“, a postaramy się uwzględnić je kolejno. Pisaliśmy już zresztą o tem, że zawsze chętnie dostosujemy się do życzeń i potrzeb naszych Abonentek. Będzie to dla nas prawdziwą przyjemnością, jeśli nasze Panie zechcą zwracać się do nas z zaufaniem.

MIŁOŚNICZKA KWIATÓW. — Radzimy Pani zaprenumerowanie czasopisma poświęconego kwieciarstwu, a także warzywnictwu i owocarstwu. Adres: Przegląd Ogrodniczy, Lwów, Chorążczyzna 27.

Do Norwegji, kraju białych nocy, zmierzają myśli tych, którzy układają plany letniej podróży. Przecudne jasne noce norwegskie i przedziwna przyroda, czynią ten kraj zaczarowaną domeną. W jasnych nocach tej dalekiej północy, wody Norwegji roją się od licznych statków wysyłanych na połów przez wielkie fabryki konserw. Z krystalicznej wody fjordów, sieci poławiaczy wyciągają bogaty łup, a mianowicie: śledzie - tłuściochy, „brislingi“ i „sildy“, który przetwarzają słynne nowoczesne norwegskie fabryki konserw w niezrównane idealnie higjenicznie przyrządzone i nieporównane w smaku przetwory, rozsyłane na cały świat i słynne jako bezkonkurencyjne. Niemcy np. konsumują te konserwy w ogromnych ilościach i cenią je jako najprzedniejsze delikatesy.

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**

Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3
Telefon administracji: 4-32 Drukarnia Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Tel. 85-16 Telefon redakcji: 48-34

Jak wiele innych pań, i ja musiałam długo eksperymentować, aż znalazłam odpowiedni środek do pielęgnowania włosów. Nie obeszło się, naturalnie, bez przykrych niespodzianek. Nareszcie znalazłam to, czego długo szukałam:



„PIXAVON“ 1092

w płynie lub jako shampoon, który regularnie co tydzień stosuję. Niejedno spojrzenie, skierowane na moje włosy, upewnia mnie, że ich jedwabisty połysk i puszystość podnoszą mój urok. A co mi zdradzają nieme, a jednak dużo mówiące spojrzenia obcych, potwierdzają mi otwarcie lub dyskretnie moi najbliżsi.

PIXAVON

OBECNIE TEŻ

PIXAVON-SHAMPOON

PRZEMYSŁ CHEMICZNO-KOSMETYCZNY

ODOL CIE S. A. — LWÓW

CHORZY ŻĄDAJCIE WE WSZYSTKICH APTEKACH I SKŁADACH APTECZNYCH **ZIÓŁ LECZNICZYCH**

OSKARA WOJNOWSKIEGO

WARSZAWA **HORTENSJA 3, m. 4**

Przeciwko cierpieniom kanału pokarmowego	(zn. sł. „IROTAN”)
„ wymiotom i atonji kiszek	(zn. sł. „GARA”)
„ chorobom płuc i blednicy	(zn. sł. „ELMIZAN”)
„ reumatyzmowi, artretyzmowi, podagrze i ischiasowi	(zn. sł. „ARTROLIN)
„ chorobom nerek i pęcherza	(zn. sł. „UROTAN”)
„ niedomaganiom skrofulicznym	(zn. sł. „TIZAN”)
„ chorobom nerwowym i epilepsji	(zn. zł. „EPILOBIN”)
Kąpiele siarkowo-roślinne	(„SULFOBAL”)

Adres dla listów w sprawie sprzedaży:

WARSZAWA—PRAGA, OLSZOWA 14. TEL. 334-19

1092

(Wysyła się bezpłatnie broszurę o ziołolecznictwie)

WE WŁASNYM INTERESIE prosimy powoływać się przy zakupach na ogłoszenia w „ŚWIECIE KOBIECYM"